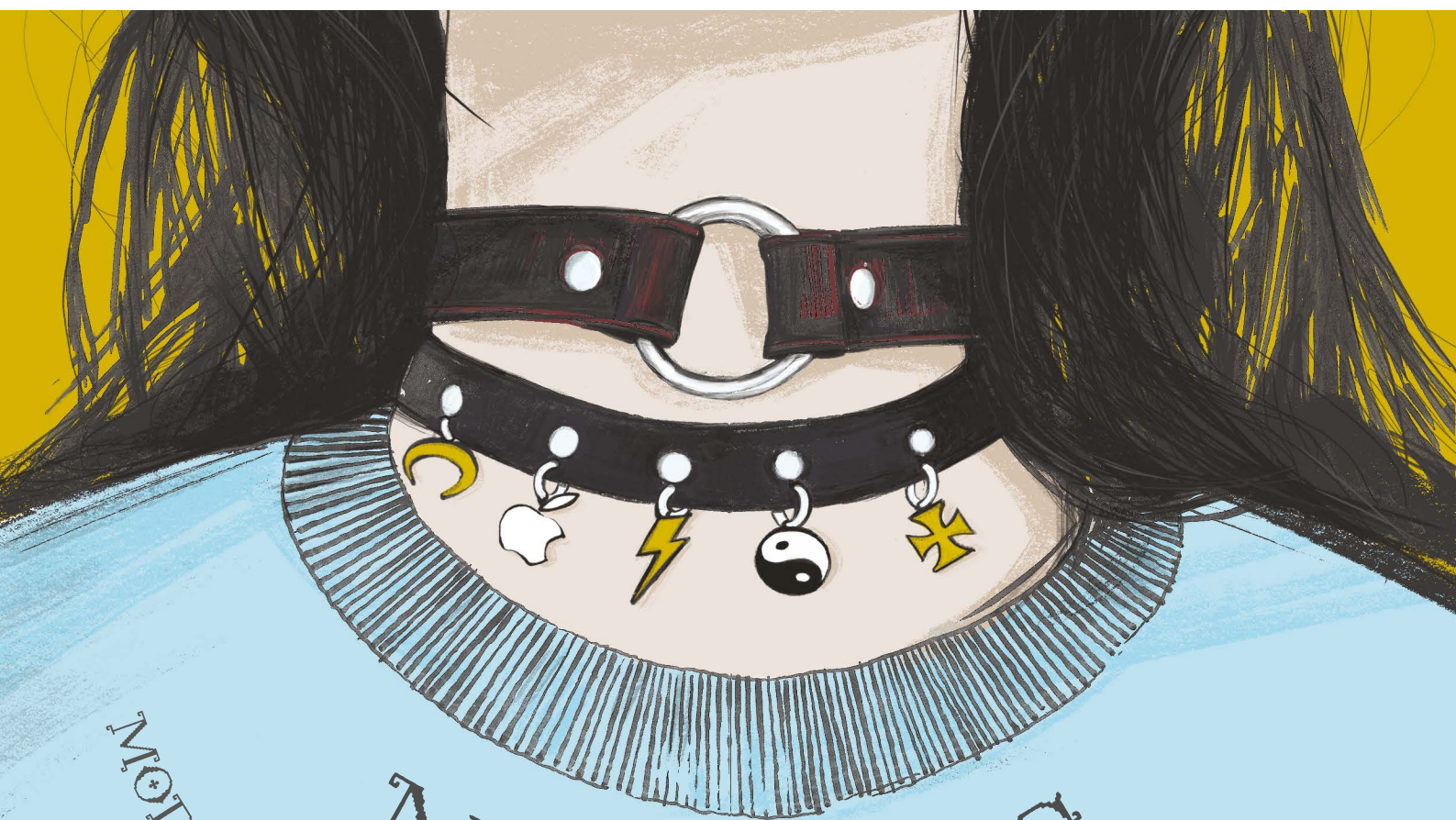


ISSN 2353-1037
nr 1(22)/2017
egzemplarz bezpłatny

styczeń/luty

projektor

kielecki
magazyn
kulturalny



MODA CIEMNA. MODA OFF

NURT 2016

JAK ZOSTAĆ HIPSTEREM?

ROBOTNIK TEŻ ARTYSTA

LONDON CALLING



projektor**em**
kielecki
magazyn
kulturalny

NA RÓŻNYCH KONTYNENTACH

„W krainie Jakutów”

prowadzenie - Artur Zieliński
23 lutego 2017
godz. 18.00
Klub KOTŁOWNIA
(Baza Zbożowa)

„Azja Centralna”

prowadzenie - Dorota Nowak-Baranowska
Bartosz Baranowski
9 marca 2017
godz. 18.00
Klub KOTŁOWNIA
(Baza Zbożowa)



„NIEBEZPIECZNE ZWIĄZKI”, epistolarne arcydzieło Choderlos de Laclose’a, w filmowej adaptacji Christophera Hamptona rozpoczyna scena przygotowań wicehrabiego de Valmont i markizy de Merteuil do spotkania po latach. Obserwujemy magiczną ceremonię – strój, makijaż sta-

ją się maską, wystudiowane, subtelne gesty, dobrane słowa, wymowne spojrzenia, misterne pozy – próżno szukamy prawdy o bohaterach. Rokokowy dandys – dziś powiedzielibyśmy glamour i trendy – uwielbiał wszystko, co sztuczne, rozkochał się w wyrafinowanych dekoracjach i gipsie. W swym przerafinowaniu wpadłby w zachwyt na widok pleksiglasu i chińskich zabawek.

Piękno nierzeczywistego świata elegancji i stylu pociąga nas, a równocześnie drażni. Pociąga swą siłą – nieomal absolutu, drażni – naszą własną niedoskonałością. Patric Bateman, psychopatyczny bohater powieści Breta Eastona Ellisa na widok cudzej, skrojonej pięknym fontem wizytówki wpada w szat i wyrusza na łowy. W wyobrażeniach chciałby się ujrzyć subtelnym zbieraczem trofeów, spełnionym koneserem urody i modnych trendów, a jest zaledwie konsumpcyjną, bladą kalką tajemniczych, zagubionych na odległych wyspach, szekspirowskich bohaterów Johna Fowlesa.

Jeden z nich kolekcjonuje rozkwitające tysiącem barw, ulotne, eteryczne, żyjące krótką chwilę motyle. Usypia je eterem i unieruchamia setkami szpilek. Powoli, systematycznie, w podziwie dla ich piękna, ale i w złości. To lekcja przewagi i poddaństwa. Znana od czasów „Ugłaskania sekutnicy” (lub „Poskromienia złośnicy” jeśli życzenie) – *Co za kształt! rychtyk przykrywka od wazy; (...) Kto się w tym wyda? Kogo to upiększy? (...) Co to jest? Rękaw? Chyba śmigownica! Ukarbowany u góry i dołu, / Jak ciasto z jabłek.*

Katarzyna jak motyl odurzony eterem ulega. Odtąd Petrycy stał się dyktatorem jej stylu. Uczynił to, co nieświadomy swej potęgi, Rafael portretujący jasnowłosą modelkę, gdy zmusił Rzymianki do wystawiania fryzur na palące promienie słońca, w nadziei, że staną się obiektem westchnień artystów.

Czy trzeba nienawidzić Caseya Bloya? Dyrektor programowy HBO, już w miesiąc po nominacji, zakazał dalszej produkcji „Vinylu” Martina Scorsese – ikonicznego serialu o muzyce lat 70., gdzie z każdym kadrem, jak w wielkim muzeum podziwialiśmy modę, wnętrze, język, styl tej epoki, gdy Alice Cooper i James Brown nie byli jeszcze karykaturą samych siebie. Kasując reżysera „Chłopców z ferajny” ktoś zapomniał, że dziś i archanioł Gabriel, i upadły Ezekiel ubierają się u Prady.

Paweł Chmielewski

projektor

kielecki
magazyn
kulturalny

Kielecki magazyn kulturalny

„PROJEKTOR”
dwumiesięcznik

ISSN 2353-1037

WWW.PROJEKTORKIELCE.PL

e-mail: projektorkielce@onet.eu

tel. 605 343 341

Wydawca: STOWARZYSZENIE TWÓRCZE „ZENIT”

ul. Zbożowa 4 lok. 12, 25-416 Kielce

WWW.ZENIT.ORG.PL

Redaktor naczelny: PAWEŁ CHMIELEWSKI

Okładka: ARTUR WABIK

Logo: BOA

Skład, redakcja graficzna: KRYSZTIAN MUCHA

Współpraca: MAŁGORZATA ANGIELSKA, MARTA BARAN, DOMINIK BOROWSKI, SYLWIA GAWŁOWSKA, OLIVIA HILDEBRANDT, MICHAŁ JAWOREK, PIOTR KARDYŚ, PIOTR KLETOWSKI, AGNIESZKA KOZŁOWSKA-PIASTA, MIROŚLAW KRZYSZTOFEK, IZABELA ŁAZARCZYK-KACZMAREK, MARTYNA MUSIAŁ, DOROTA NOWAK-BARANOWSKA, PATRYCJA OGŁAŻA, ADAM ORGANISTY, AGATA ORŁOWSKA, ŁUKASZ RAKALSKI, EMMANUELLA ROBĄK, MICHAŁ SIEDLECKI, AGATA SUSZCZYŃSKA, ALEKSANDRA SUTOWICZ, ŁUKASZ SZARUGA, ARTUR WABIK

ZDJEĆCIA: KONRAD BĄK, ADAM GŁUCH, WOJCIECH HABDAS, OLIVIA HILDEBRANDT, TOMASZ KOZŁOWSKI, KRZYSZTOF KROGULEC, MARCIN MICHAŁSKI, PAULINA MIECZKOWSKA, DOROTA NOWAK-BARANOWSKA, AGATA SUSZCZYŃSKA, FILIP WYPORSKI

RYSUNKI: JACEK FRĄŚ

nakład: 1100 egz.

Druk: „JAWIST”, Kielce, ul. Warszawska 209

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych i zastrzega sobie prawo do redagowania nadesłanych tekstów. Odpowiedzialność za treść zamieszczanych reklam ponoszą wyłącznie reklamodawcy.

Spis treści:

TEMAT NUMERU: GLAMOUR

3. **Dorota Nowak-Baranowska**
Co mówi moje ubranie? (*Antropologia mody*)
- Martyna Musiał**
6. **Hase i jej miłości** (Krzysztof Tomasiak, „Grażyna Hase, Miłość, moda, sztuka”)
- Oliwia Hildebrandt**
7. Kontrast, kicz, groteska, dynamit (Wystawa Jaśminy Parkity w Galerii „Winda”)
- Marta Baran**
8. *Scarlett w garniturze* (Akademia Off Fashion)
- Agata Suszczyńska**
10. „Exposition” z czystych płam koloru (*Off Fashion 2016*)
- Emmanuella Robak**
13. Marsz modnych zombie („Zombie w kulturze”)
- Piotr Kletowski**
14. Stylowe kino grozy (*Glamourowy film – „Neonowy demon”*)
- Oliwia Hildebrandt**
16. 4 kobiety, 4 style, 4 style, 1 mianownik (Wystawa w Galerii XS ISP UJK)
- Paweł Chmielewski**
17. London calling (Piotr Szarota, „Londyn 1967”)
- Agata Orłowska**
18. Legenda w kolorowych skarpetkach (Marcel Woźniak, „Biografia Leopolda Tyrmanda”)
- Małgorzata Angielska**
19. Narcyz czwartej władzy (Wiesław Godzic, „Okrakiem na barykadzie. Dziennikarze i celebryci”)
- Artur Wabik**
20. Jak być hipsterem? (Bikiniarze, modsi, metalowcy, punki – krótka historia subkultur)
- Emmanuella Robak**
24. Burleska wraca – w wielkim stylu! (*Moda alternatywna*)
- Aleksandra Sutowicz**
27. Damy pop-artu („Kobieca strona popkultury”)

TEATR

28. **Patrycja Ogłaza**
Boks i morderca (*Projekt „Podróż – kierunek Teatr”*)
- Paweł Chmielewski**
30. Sarmata przepoławiony albo Różewicz x N (XVI Przegląd Teatrów Alternatywnych)
- Agnieszka Kozłowska-Piasta**
34. Transakcja odrzucona („Zachodnie wybrzeże” Bernarda Marii Koltęsa w Teatrze im. S. Żeromskiego)

FILM

36. **Piotr Kletowski**
Obraz nigdy nie kłamie (*NURT 2016*)
- Piotr Kletowski**
38. Malując kamerą (Bartosz Michalak, „Zatrzymani w kadrze”)
- Piotr Kletowski**
39. Błękitne obrazy na obrzeżach (Paweł Sołodki, „Rubieże przyjemności”)

DESIGN

40. **Izabela Łazarczyk-Kaczmarek**
Kubek z gorącą wodą – niestety... („Fair Building” w Instytucie Dizajnu)

HISTORIA

42. **Michał Jaworek**
Paleontologiczny raj i historyczne bogactwo („Almanach świętokrzyski”, tom I)

KOMIKS

43. **Paweł Chmielewski**
Obrazki z domu umarłych (*Art Spiegelman, „Maus”*)

MUZYKA

44. **Łukasz Szaruga**
Cień „Taksówkarza” nad ziemią kielecką (*Festiwal Firmament*)
- Marta Baran**
45. Stukot szyn pociągu linii M (*Patti Smith, „Pociąg linii M”*)
- Sylwia Gawłowska**
46. Głodne serce (*Grażyna Szapołowska, „Kochaj mnie”*)
- Łukasz Szaruga**
47. Long live EBM (*Body Virus, „Body Music”*)
- Miroslaw Krzysztofek**
48. Ro(c)k nie tylko instrumentalny (*Ranking najciekawszych płyt 2016*)
- Łukasz Rakalski**
50. Do-It-Yourself Project (*Brian Lynch, „Madera Latino”*)

ANTROPOLOGIA/FILOZOFIA

51. **Agata Orłowska**
Przyjdzie gender i nas zje (*Maciej Duda, „Dogmat ptci”*)

LITERATURA

52. **Dominik Borowski**
Jak trudno odkryć sens... (*Konrad Góra, „Nie”*)
- Michał Siedlecki**
53. Pęd bez cenzury (*Ryszard Krynicki, „Pęd pogoni, pęd ucieczki”*)
- Piotr Kletowski**
54. Powrót do krainy szczęścia (*Krystyna Alicja Jezierska, „Gdy przysni się dom”*)

PLASTYKA

55. **Izabela Łazarczyk-Kaczmarek**
Pracownia ekslibrisu (Wystawa w Galerii Uniwersyteckiej UJK)
- Adam Organisty**
56. Obraz w obrazie („Pokój z widokiem” Barbary Skąpskiej w „Domu Praczek”)

FOTOGRAFIA

- Agata Suszczyńska**
58. Biennale międzynarodowe – to brzmi dumnie (XVII Międzynarodowe Biennale Krajobrazu, BWA Kielce)
- Izabela Łazarczyk-Kaczmarek**
60. Miejsca, których nie ma (*Jerzy Piątek „Były takie Kielce”, Muzeum Historii Kielc*)

NOWE MEDIA

- Paweł Chmielewski**
61. Tajne rozrywki awatarów (*Piotr Kubiński, „Gry wideo. Zarys poetyki”*)

Dorota Nowak-Baranowska

Co mówi moje ubranie?

Czy strój może mówić nie tylko o naszych gustach estetycznych, ale również o naszej osobowości, upodobaniach czy pasjach? Czy moda powinna być rozpatrywana w kategoriach mainstreamu czy raczej elitarnej niszy? Czy wizerunek hipstera to koniec pewnej epoki, czy może początek mody jako zjawiska, które należy rozpatrywać w zupełnie nowym wymiarze?

MODA MOŻE DOTYCZYĆ WIELU dyscyplin – począwszy od ekonomii, psychologii, socjologii, historii sztuki, poprzez antropologię, aż po współczesny design i krytykę sztuki. Jest to więc zjawisko kulturowo-społeczne, obejmujące wszystkie dziedziny życia i otwierające nowe perspektywy, napędzające gospodarkę i wreszcie prowadzące do przemiany obyczajów oraz systemów wartości. Oscar Wilde powiedział, że *poczucie zgodności z modą daje człowiekowi pewność siebie, jakiej nigdy nie była w stanie zapewnić mu religia*. Nie chodzi więc tylko o stosunkowo prosty sposób na „upiększenie się”, ale także o odzwierciedlenie kulturowych kontekstów i czasu. Trafnie obrazuje to panujący postmodernizm – w świecie po Derridzie i Bourdieu wszystkie kanony estetyczne zdają się być unicestwione.

Moda od zawsze stanowiła sferę nie tylko wizualności, ale także oglądalności. Z definicji jest więc ona „na pokaz” i nawet, jeśli nie mamy ochoty wyrażać czegośkolwiek poprzez styl, w jakim „się nosimy”, to już sama ta postawa może być pewnym manifestem, choćby osten-tacyjnej obojętności wobec narzucanej, masowej mody.

Na przestrzeni wieków zmieniały się jej paradygmaty, a najważniejszym z nich jest być może sposób rozprzestrzeniania. Niegdyś moda była zawsze narzu-cana „z góry”. Dziś jest wręcz odwrotnie. Obecnie możli-wości marketingowe komunikacji masowej, pozwalają na lansowanie modowych wzorców w różnych środowiskach w ekspresowym tempie. Dzięki Internetowi nieznane nikomu dziewczyny i chłopaki z Instagramu w krótkim

czasie mogą osiągnąć popularność o piorunującym za-sięgu. W teorii praktycznie każdy, kto posiada konto na Facebooku lub w innych mediach społecznościowych, jest w stanie, przy odrobinie wysiłku, wprowadzić do obiegu wymyśloną przez siebie stylizację lub ozdobę, a inni (tak zwani followerzy) mogą ją naśladować. Inno-wator z Instagramu staje się tym samym influencerem.

Idea mody hegemonicznej dawno już więc zanikła na rzecz ogromne-go pluralizmu. Można powiedzieć, że moda zupełnie się zdemokratyzowa-ła, jeśli nie spauperyzowała.

Dziś poprzez ubrania najczę-ściej staramy się pokazać, już nie tylko swój styl, albo przynależność do danej subkultury, ale raczej pew-ną tożsamość i określoną, pożądaną przez nasze ego wersję samych sie-bie. Pod szyldem mody sprzedaje się tożsamość, a ubranie przestało koja-rzyć się wyłącznie ze sferą wizual-ną, a zaczęło być synonimem okre-ślonego stylu życia. Z półki *fashion* moda weszła do szufladki z napisem *lifestyle* – dziś możemy pokusić się o odgadnięcie profesji, gustów mu-zycznych, a nawet wyborów życio-wych faceta z długą brodą lub dziewczyny w różowych trampkach. Z czasów liceum pamiętam różnokolorowe sznurówki gланów, które również miały oznaczać okre-śloną filozofię oraz wyznawane wartości.

POLSKI KRZYK MODY I BUNTU

Choć dziś wydaje się to oczywiste, moda nie zawsze była wyrazem rebelii. Moda na dobre zaczęła rymować się z buntowniczymi zachowaniami dopiero w połowie ubiegłego stulecia. Natomiast na przestrzeni wieków służyła ona raczej do zmiany (podniesienia) statusu spo-łecznego i materialnego (przykład szlachty „z ubrania”). Dopiero w burzliwym XX w. strój stał się wyrazem buntu i niezgody na rzeczywistość. Václav Havel zauważył, że *w kraju totalitarnym tak już jest, że polityką jest wła-ściwie wszystko, nawet koncert rockowy*. Na podobnej zasadzie, po II wojnie światowej, zaczęto traktować modę i ubrania, zwłaszcza w krajach „za żelazną kurtyną”. Była to najprostsza i najbardziej wizualna forma obrony przeciwko uciążliwej i opresyjnej uniformizacji.



Gdzieś na targowisku

Fot. Dorota Nowak-Baranowska

Przeciwko tej ostatniej stawali szczególnie bikiniarze w latach 50. w Polsce. Wywodzili się oni najczęściej z młodzieży inteligenckiej, co wiązało się z tym, że programowo odrzucali oficjalnie propagowane wzorce i nade wszystko cenili sobie indywidualność oraz wolność osobistą. Starali się wyróżnić w sposób najprostszy z możliwych – poprzez jaskrawe kolory i pstrokatość, które dziś wiele osób uważa za kicz. Za umiłowaniem do kwiatowych esów-floresów stała fascynacja zachodnią kulturą, która w szarej monotonii jawiła się jako obszerne welwetowe marynarki („marynary”), kolorowe krawaty, wąskie spodnie zaprasowane w kant i wielobarwne skarpety. Znajomość nowinek ze świata mody równała się znajomości literatury i najgłośniejszych nazwisk amerykańskiej sceny jazzowej. Bikiniarze istnieli dopóty, dopóki Polska była odcięta od zachodniego świata. Po odwilży w 1956 r. ta subkultura stopniowo zaczyna zanikać.

Natura nie znosi próżni, więc w miejsce bikiniarzy pojawiają się hipisi, którzy poprzez swój wygląd

Fot. Dorota Nowak-Baranowska



Współcześni hipisi

chcą wyrazić pacyfizm i fascynację ideologiami New Age. „Hipisowski szlak” dociera do Indii, a poprzez nie, do krajów socjalistycznych, dociera moda na orientalne wzory i obfitą biżuterię. Najważniejsze w tym wszystkim było przeciwstawienie się wzorcom „burżuazyjnym” (nawet jeśli często pojmowanym wybiórczo).

Druga połowa lat 50. to również czas mody na egzystencjalizm i dominującą, dramatyczną czerń. Ci, którzy chcieli być modni, musieli przesiadywać w kawiarniach i rozprawiać o Sartrze, paląc przy tym papierosy. Wtedy pojawiło się uczesanie na topielicę oraz obszerne czarne swetry i długie spódnice. Był to pewnie jeden z niewielu przejawów stylu i oprawy wizualnej, który wynikał bezpośrednio z przekonań filozoficznych i fascynacji literaturą nihilistyczną.

Początek lat 70. to narodziny subkultury gitowców. To grupa o tyleż ciekawa, że jest ona rdzennie polska.

Wiązała się bowiem z wydarzeniami mającymi miejsce w ściśle polskim kontekście – była odbiciem zjawiska „drugiego życia”, które nastąpiło w więzieniach i zakładach poprawczych dla młodocianych przestępców. Ta grupa ludzi, opuszczając placówki resocjalizacyjne, zaczyna przenosić zasady egzystencji zła do „normalnej” rzeczywistości. Ich znakiem rozpoznawczym były tatuaże i sznuty. Lubowali się oni ponadto w kurtkach ortalionowych i wąskich spodniach, a w dobrym tonie było posiadanie przynajmniej jednego... złotego zęba.

Późniejsze dekadety były już coraz bardziej swobodne i coraz więcej informacji dochodziło z Zachodu. Pojawiają się więc subkultury punkowców, skinheadów, metali i kilka innych. O ile środowiska bikiniarzy, modsów czy egzystencjalistów były zjawiskami raczej przemijającymi w sposób zupełny, o tyle dziś niektóre później powstałe subkultury wciąż funkcjonują, wyznaczając tym samym granice mainstreamu.

SUBKULTURA I JEJ PARADOKSY

Chęć przynależności do danej subkultury nosi więc w sobie najczęściej dwie dynamiki: z jednej strony chodzi o to, aby się wyróżnić, z drugiej niezwykle silna jest chęć przynależności. Podobny ubiór, podobne przekonania, dają poczucie bezpieczeństwa oraz pewnego rodzaju kod wzajemnej rozpoznawalności. Przy okazji nie bez znaczenia jest również ochota na zmanifestowanie swoich poglądów w zgodzie z pozostałymi członkami grupy, ale w opozycji do mainstreamu. Tu ujawnia się pewien paradoks każdej subkultury, która z definicji dąży, z jednej strony, do wyróżnienia się, a z drugiej, do wtopienia w określoną grupę.

Dziś, z całą pewnością, można stwierdzić, że wiele inspiracji modowych zaczerpniętych od rozmaitych subkultur zostało przejętych przez czołowych projektantów, którzy w ten sposób prześcigają się między sobą, próbując przenieść paradygmaty undergroundu do mainstreamu. Rezultatem jest wszechobecny, eklektyczny misz-masz, gdzie nie ma archetypów, wzorców i absolutu, za to w pełnej krasie panoszą się zapożyczenia, imitacje i re-kreacje. Różne style zaczynają się wzajemnie przeplatać, pozwalając dowolnie łączyć elementy, które kiedyś uważano za sprzeczne lub przeciwstawne. Takie są prawa postmodernizmu.

W subkulturach XXI w. zdaje się jednak, że już nie chodzi o ortodoksyjny bunt wyrażany poprzez sztywne reguły estetyczne i modowe. W końcu obowiązujące stulecie jak żadne inne wcześniej jest naznaczone indywidualizmem (przynajmniej w zachodniej, dominującej perspektywie). Co z tego wynika? Otóż, przynależność

do grupy, nawet najfajniejszej, jest *passé*. Jeśli można by wybrać jedno określenie definiujące modę w XXI stuleciu, to pewnie może to być „indywidualizm”. Dlatego też subkultury, które narodziły się lub uległy swoistej reinkarnacji po 2000 roku, wydają się funkcjonować już w myśl trochę innych zasad, a wspomniane wewnętrzne sprzeczności między poczuciem bycia niezależną jednostką, a modnym kolektywizmem wyraźnie się zacierają.

(NIE)MODNIE?

Skoro o indywidualizmie mowa, czy wiecie, że hipster wcale nie jest wynalazkiem XXI wieku? Wielu antropologów i obserwatorów mody zauważa wiele paraleli między współczesną (sub)kulturą hipsterów a modsów. Ci ostatni powstałi już w latach sześćdziesiątych w Londynie, a ich głównym zainteresowaniem i filozofią było, jak sama nazwa wskazuje, śledzenie najnowszych trendów w modzie. I już. Brak głębszej filozofii nie przeszkodził jednak w tym, że to właśnie często przedstawiciele tej grupy są „cytowani” przez współczesnych adeptów *haute couture*, a nawiązania do ich stylizacji można nierzadko spotkać na współczesnych wybiegach. Mods był tym, czym dzisiaj jest *influencer*, a jeszcze dziesięć lat temu *trendsetter*. Wy różnił go nienagannie skrojony garnitur, wymuskana i staranna fryzura oraz ogromne okulary przeciwsłoneczne. Modsi uwielbiali również intensywne kolory i typowo dandysowskie dodatki, na przykład szelki albo spodnie-cygaretki.

Hipster może uchodzić za modsa XXI wieku, tyle, że w swoim własnym mniemaniu ten pierwszy zawsze będzie alternatywny i undergroundowy. Hipster jest pierwszą osobą, która sprzeciwia się mainstreamowi, choć sam się do niego przyczynia i, mimo wszystko, do niego należy. Swoisty „paradoks hipstera” polega na tym, że jest to osoba, która chce być anty-systemowa, burząc podziały między tym, co off, a co pop. Praca to niełatwa i prawdziwy hipster spędza dużo czasu, aby być modnym, a jednocześnie kompletnie odżegnywać się od głównego nurtu. Rzeczywiście, zadanie to zakrawa niemal na schizofrenię, choć z drugiej strony, jeśli chcemy wyglądać w duchu hip, wystarczy, że pójdziemy do pierwszej lepszej zachodniej „sieciówki”.

W ten sposób, dochodzimy do sedna tego, czym być może dziś charakteryzują się subkultury, o ile ciągle możemy je tak nazywać? Nazywane pokoleniem Y czy Z, najmłodsze generacje wychowane w kulturze zachodnioeuropejskiej i amerykańskiej nie znajdują dziś wielu powodów do buntu. Są to ludzie bardziej



Rastafarianie, Bangkok

Po Derridzie i Bourdieu wszystkie kanony estetyczne zdają się być unicestwione.

pragmatyczni i nastawieni często na wygodę i samowiadomość. Jednak jednocześnie są to pokolenia, które żywo angażują się w przeróżne inicjatywy.

W przypadku tych ostatnich nie bez znaczenia jest niemal permanentne korzystanie z mediów społecznościowych. To zdecydowanie wpływa na stosunkowo szybsze podejmowanie decyzji w kwestii zaangażowania się w daną aktywność czy działalność. Tym bardziej, że coraz więcej akcji oraz kampanii społecznych ogranicza się w gruncie rzeczy do bardzo prostych, pojedynczych gestów, a jednymi z tych bardziej popularnych są właśnie gesty odnoszące się do wyglądu zewnętrznego, w tym do ubioru.

W polskim kontekście może to być choćby niedawny (i chyba ciągle trwający?) Czarny Protest, gdzie wiele osób było zdania, że ubranie się na czarno może być heroizmem. Podobnie wyglądało to w 2004 r. w czasie Pomarańczowej Rewolucji, kiedy wiele osób nosiło się na pomarańczowo albo ewentualnie przyozdabiało swój outfit małą, oranżową wstążeczką. Przykłady można by mnożyć, nie tylko w Polsce.

Być może w XXI stuleciu powinniśmy zacząć definiować modę już w zupełnie innych kategoriach – nie tylko wizualności, ale raczej jako znak kondycji społecznej i swoiste narzędzie walki. Bo jak inaczej można mówić o niej według tradycyjnego rozróżnienia między kulturą pop a kulturą undergroundową, skoro współczesne ucieleśnienie mody masowej, indywidualistyczny hipster, sam nie wie, do której grupy pragnie należeć. ■

Hase i jej miłości

Martyna
Musiał

Pytana o credo życiowe nie potrafiła udzielić precyzyjnej odpowiedzi. Przynajmniej dopóki nie wpadła jej w ręce kartka zapisana przez ojca: *Są tylko dwie rzeczy na świecie, dla których żyć warto: miłość i sztuka*. Czytając biografię Grażyny Hase nie ma wątpliwości, że właśnie w to wierzyła.

OPOWIEŚĆ O CIEKAWEJ OSOBIE musi być interesująca. I nie można tego odmówić ani książce Krzysztofa Tomasika, ani jej bohaterce. Życie Grażyny Hase, zarówno prywatne, jak i zawodowe, wydaje się dosyć typowe dla cyganerii artystycznej. A oznacza to brak nudy.

Kim jest więc Grażyna Hase sportretowana przez biografistę? Modelką, projektantką mody, wła-

ścicielką galerii sztuki współczesnej. Ale też osobą pełną energii, niezwykle kreatywną, pracowitą, niezależną, odrobinę szaloną.

Modelką stała się już jako nastolatka. Została dostrzeżona przez Wojciecha Plewińskiego, fotografa, i trafiła na okładkę „Przekroju”. Od tego czasu regu-

w w spódnicy” okazał się jednym z najważniejszych projektów PRL-u. Ale Hase nie osiadła na laurach, „Kozak Look” był tylko początkiem jej twórczej drogi. Po nim nastąpiło jeszcze wiele kolekcji, a także projektów dla gwiazd estrady, dla teatrów i do filmów, a nawet dla sportowców kadry olimpijskiej czy pracowników LOT-u. Była prawdziwą kreatorką mody. A galeria? Jej otwarcie wynikało z potrzeby posiadania pracowni projektowej, ale okazała się czymś znacznie więcej. Hase stworzyła miejsce, które łączyło modę ze sztuką, pomagało początkującym artystom, a także tworzyło życie kulturalne Warszawy.

Oczywiście miłość zawsze była dla Grażyny Hase, co najmniej równie ważna. Nie mogło więc zabraknąć historii o rodzinie czy też związkach uczu-

szaleństwo i beztroska

ciowych, takich jak narzeczeństwo z playboyem Ryszardem Manickim, małżeństwa z Pálem Széscim, węgierskim piosenkarzem i, być może najważniejsze, ze znanym scenografem Wowo Bielickim, a także innych, drobniejszych romansach. Niektóre anegdoty opowiedziane przez Tomasika, lub przez samą Hase (której wypowiedzi są wielokrotnie cytowane, co dodaje książce dodatkowej wartości), sprawiają wrażenie szaleństwa i beztroski. Bo jak inaczej nazwać porwanie przez partnera albo impulsywny ślub? Wszystkie zdarzenia są jednak relacjonowane z szacunkiem do przyjaciół, minionych miłości i wspólnej przeszłości. Nie zmienia to faktu, że czytanie o nich jest bardzo zajmujące.

Największą zaletą tej biografii jest wkład graficzny – prywatne zdjęcia, fotografie z wybiegów i sesji zdjęciowych, wycinki z prasy czy szkice projektów. Nie sposób wyobrazić sobie tej publikacji bez nich. O ich znaczeniu może świadczyć nie tylko to, że dają wyobrażenie o samej artystce i jej pracy, ale także jak obrazują ewolucję polskiej mody. A jest co pokazywać. Owszem, Warszawa, ani żadne inne polskie miasto, nie stało się nigdy światową stolicą stylu, a rodzimi projektanci nie osiągnęli stawy porównywalnej z założycielami największych domów mody. Nie znaczy to jednak, że nie było wśród nich utalentowanych twórców. Nawet w czasach PRL-u, kojarzonego raczej z burością, nudą i brakiem materiałów, zdarzali się artyści, którzy potrafili stworzyć rzeczy kolorowe i piękne – tak jak Grażyna Hase. Dlatego warto poznać ją bliżej.



Krzysztof Tomasik
Grażyna Hase. Miłość, moda, sztuka

413 s. ; 25 cm

Warszawa : Marginesy, 2016

391(438)-929-052(438)*19/20*

larnie uczestniczyła w sesjach zdjęciowych i prezentowała stroje na wybiegach. Współpracowała z wieloma projektantami, w tym Jadwigą Grabowską, twórczynią „Mody Polskiej”. Projektowanie ubrań wydaje się w jej przypadku naturalną konsekwencją wieloletniego obcowania z modą. Sukcesem okazała się już pierwsza kolekcja, która upamiętniała 50. rocznicę rewolucji październikowej. Autorka nawiązywała w niej do kultury rosyjskiej. Strój „Lenin

Kontrast, kicz, groteska, dynamit

Oliwia Hildebrandt

Jaśmina Parkita, rocznik '88, absolwentka kieleckiego „plastyka”, studiowała grafikę na Uniwersytecie Pedagogicznym w Krakowie, w 2014 r. z wyróżnieniem ukończyła Wydział Tkaniny i Ubioru w pracowni Tkaniny Drukowanej prof. Krystyny Czajkowskiej na Akademii Sztuk Pięknych w Łodzi. Swoją aktywność zawodową i artystyczną koncentruje wokół ilustracji, projektowania graficznego oraz artystycznego i przemysłowego tworzenia druków na tkaniny, ubrań, kostiumów. Działa w przestrzeni mix- i intermedialnej. Stworzyła m.in. oprawy graficzne do płyt Czesława Mozila, Artura Andrusa, happysad, Indios Bravos i Camero Cat. Jest współzałożycielem Kieleckiego Centrum Poemixu oraz alternatywnej marki odzieżowej „dzieńdobry”.

WYSTAWA W GALERII SZTUKI Współczesnej „Winda” stanowiła w większości ekspozycję najnowszych prac artystki. To swoisty pamiętnik z podróży w czasie i przestrzeni, zarówno świata inspirowanego codziennością i jej obserwacją, jak i wewnętrznych przemysłań i konotacji. Obrazy realne i fantastyczne, prawdy uniwersalne czy stereotypy, wyobrażenia i wrażenia



zapisane językiem grafiki i malarstwa, zilustrowane za pomocą postaci ludzkich czy ich zwierzęcych personalizacji, wytapujemy na pierwszy rzut oka.

Świat z pozoru naiwny, kryje bogactwo symboli osobistych, zaszyfrowanych treści, emocji, takich jak marzenia, fascynacje, miłości i tęsknoty. Kod indywidualnych znaków opiera się w głównej mierze na rysunku. Rysunek jest fundamentem i konstrukcją kompozycji. Wykonany kameralnie, na przystawowym „kolanie”, wzbogacony środkami malarskimi, przetworzony, przeskalowany podejmuje dialog z odbiorcą za pomocą przestrzeni. Zdajemy się istnieć w obrazie, być jego elementem. Zabieg ten wzmacniają instalacje, projekty przestrzenne, asambláže i skompleksowana oprawa plastyczno-dźwiękowa wernisażu.

Pełen skrajności, kontrastu, dynamiczny, groteskowy, kiczowaty, prawdziwy.

Pragnienie wyjścia poza dwuwymiarową płaszczyznę zaowocowało tworzeniem przedmiotów. Wykorzystanie możliwości wielkoformatowej tkaniny pozwoliło – nie tylko na przeniesienie ilustracji w rzeczywisty świat ekspozycji tu i teraz – ale także w codzienność przedmiotów bliskich ciału i sercu, takich jak poduszki, tekstylia, ubiory i cały entourage osobisty. Z drugiej strony wystawa ma jednocześnie charakter kameralny, skłania do refleksji nad kompozycjami narracyjnymi, mniejszych rozmiarów, nawiązującymi do intymnego świata autorki, skupionych na detalu, tych prawdziwie pamiętnikowych i inspirowanych przeszłością. Wachlarz technik przetworzenia jest szeroki, podobnie operowanie gamą kolorów i form. Pełen skrajności, kontrastu, dynamiczny, groteskowy, kiczowaty, prawdziwy. Niebo i ziemia Jaśminy... i to, co jest pomiędzy. ■



Scarlett w garniturze

Marta Baran

Miasto-masa-moda – można by sparafrazować hasło głoszone niegdyś przez Tadeusza Peipera, jako krótkie streszczenie założeń Akademii Off Fashion.

– TA ODŚLONA (...) TO PROJEKT stosunkowo młody, organizujemy go na jesieni, tym razem odbywał się w dniach od 21 do 29 października. Całość ma na celu promowanie polskich marek modowych i z założenia bazuje na motcie „Czytanie jest modne”. W zeszłej edycji nawiązywaliśmy do „Alicji w Krainie Czarów”, tym razem celebrowaliśmy 80. rocznicę opublikowania „Przeminęło z wiatrem” Margaret Mitchell – relacjonowała Maria Wiśniewska, jedna z organizatorek Off Fashion w Kielcach.

Na wybiegach stworzonych na potrzeby konkursu w: Galerii „Echo”, Bibliotece Uniwersyteckiej UJK, a także w Kieleckim Centrum Kultury, publiczność miała okazję zobaczyć kolekcje stworzone przez projektantów: Paprocki & Brzozowski, Robert Kupisz i Deni Cler, Angelika Józefczyk, Baczyńska i Czamara, Jaśmina Parkita oraz marki PAWO i PLishka. Warto dodać, iż każda z odśłon kolekcji nosiła tytuł bezpośrednio nawiązujący do jednego z wątków „Przeminęło z wiatrem”. Stąd wieczór, podczas którego swoje projekty przedstawił

duet absolwentów łódzkiej ASP, czyli Paprocki & Brzozowski nazwano „Wielki bal w 12 Dębach”, zaś pokaz marki Deni Cler Milano – „Scarlett”.

Nie ulega wątpliwości, iż tegoroczne kolekcje odzwierciedlają utylitarny charakter dzisiejszej mody, która, w przeciwieństwie do tego, co było noszone w czasach Scarlett O'Hary, dostosowuje się nie tyle do pędu nowoczesności i konsumpcyjnego stylu życia, co samej, hedonistycznej mentalności społeczeństwa. Bo czymże było „bycie modnym” w przeszłości? Na podstawie chociażby opisu kostiumu głównej bohaterki w przywołanej lekturze, najprościej ujmując, modnym

było to, co nosili wszyscy. Dziś zaś, rzecz należy zredefiniować. To czyni Akademia Off Fashion, pokazując, że modnym jest posiadanie własnego stylu, a ten niejednokrotnie kłóci się z przyjętymi normami, utartymi schematami.

Wprawdzie, w przeszłości i dostownie, kobiety zrzuciły wszelkie gorsety, zarówno te w sferze mentalnej, a więc dyktujące im określony typ zachowania, jak i te, które stanowiły element ich garderoby. Z perspektywy czasu dostrzegamy bez trudu, że oba krępowały ich ruchy. Jak w efekcie wyglądałaby Scarlett O'Hara w XXI wieku? Podczas pokazu kolekcji marki modowej Deni Cler Milano jej „outfit” można





Kobiety zrzuciły wszelkie gorsety, zarówno te w sferze mentalnej, jak i te, które stanowiły element ich garderoby.

by zwiualizować w następujący sposób: luźny damski garnitur, jakby rodem z kolekcji „La Femme” Yves’a Saint Laurenta z 1967 r., utrzymany w monochromatycznych barwach. Taki „look” zdradzałby niezależną, wręcz feministyczną naturę nowoczesnej Scarlett i poniekąd byłby manifestem na rzecz odrzucenia przez nią patriarchalnego usposobienia. Być może wówczas mówiłaby swoje „pomyślę o tym wszystkim jutro” nie w rozumieniu, że ma skłonności do prokrastynacji, raczej oznaczałoby to, że jej dążenia mają swój cel w bliskiej przyszłości, że jest nastawiona na ich realizację. Być może...

Pewnym jednak jest, iż Akademia Off Fashion swoją formą spaja nie tylko przeszłość z szeroko pojętą przyszłością, lecz również poszczególne, nieco skrajne, dziedziny sztuki. W tym

świecie unowocześnioną wersję Scarlett O’Hary możemy potraktować niczym personifikację naszych rodzimych Kielc, zaś „Off” pomaga nam odnaleźć się w świecie mody. ■



Fot. Wojciech Habdas



Odbývająca się w połowie ubiegłego roku – jak na razie ostatnia – XVIII edycja Międzynarodowego Konkursu dla Projektantów i Entuzjastów Mody „Off Fashion”, zorganizowana przez Kieleckie Centrum Kultury przebiegała pod hasłem „Muza”. Kolejna, dziewiętnasta odsłona, czeka nas za pół roku, a jej temat to „Cinema”.

SAM TERMIN „OFF FASHION” przeciwstawia się codziennej powtarzalności zunifikowanych ubrań. Otwiera możliwości odważnych zestawień, rozbudowanych propozycji i efektownych projektów młodych twórców. Ci, jak co roku, nie zawiedli organizatorów – nadesłano ponad 250 zgłoszeń z kraju i zagranicy.

„Exposition” z czystych plam koloru

Agata Suszczyńska

Jury w składzie: Jakub „Jacob” Birge, Mariusz Przybylski, Katarzyna Zielińska z firmy Hexeline, Wojciech Grzybata, Michał Zaczynski, Dorota Wróblewska, Lidia Popiel, Connie Vaever z duńskiej uczelni VIA Design oraz ZhengXue Zhang z Instytutu Technologii i Mody w Pekinie i jako przewodniczący duet Paprocki&Brzozowski, do kolejnego etapu zakwalifikowało 125 projektów, które zaprezentowano podczas pokazu półfinałowego, zorganizowanego w małej hali Bazy Zbożowej. Z tego zestawu wybrano dwadzieścia jeden propozycji, które można było podziwiać w trakcie gali finałowej w Kieleckim Centrum Kultury, którą poprowadził Szymon Hołownia.

Oceniający mieli na uwadze pięć kryteriów: staranność wykonania projektów, dobór kolorów i dodatków, oryginalność kompozycji i formy ubioru, poszukiwanie nowych rozwiązań, widowiskowość prezentacji. Najlepiej sprostała im Angelika Józefczyk, absolwentka Międzynarodowej Szkoły Kostiumografii i Projektowania Ubioru w Warszawie oraz Wydziału Ekonomiczno-Socjologicznego Uniwersytetu Łódzkiego. Zdobyła główną nagrodę w wysokości piętnastu tysięcy złotych, ale także dwa wyróżnienia: statuetkę „Talent” i kupon materiału od firmy Hexeline oraz nagrodę publiczności, którą był czek na dwa tysiące złotych. Taki sukces zapewniła jej kolekcja złożona z trzynastu sylwetek, zatytułowana „Exposition”. Zdecydowane zestawienia czystych plam kolorystycznych przywołują na myśl współczesne malarstwo konstruktywistyczne. Jak mówi sama autorka, inspiracją była sztuka. Cała kolekcja jest spójna koncepcyjnie, przemyślana i konsekwentna w każdym szczególe. Laureatka realizuje również autorskie kolekcje okularów, co uwzględniła w nagrodzonej kolekcji. Prowadzi markę modową pod własnym imieniem i nazwiskiem.

Druga nagroda, czyli czek na osiem tysięcy złotych powędrował do Yuqi Wang, studentki Instytutu Technologii Mody w Pekinie. Kolekcja „Splash” również

prezentuje zdecydowane zestawienia kolorystyczne i nawiązuje w swym wyrazie do śladów, jakie zostawia rozlana na tkaninie farba. Z tej samej szkoły, co Yuqi Wang pochodzi laureat trzeciej nagrody, czyli Tang Long. Za kolekcję „Topspirit” otrzymał czek na sześć



Propozycje na każdą porę dnia, suknie, sukienki, spodnie, garnitury.

tysięcy złotych. Zaprojektowana została w odcieniach szarości, trochę futurystyczna, ale z akcentem na użytkowość. Jako wyróżnienie przyznano czek o wartości sześciu tysięcy złotych od Galerii „Echo” dla Pauliny Korzeniowskiej. Nagroda finansowa w wysokości 1500 złotych oraz infrastruktura Centrum Fashion Designu do dyspozycji na okres dwóch tygodni (studio fotograficzne, szwalnia, pracownia graficzna) od Kieleckiego Parku Technologicznego trafiły do Martyny Renk. Nagroda od firmy Media Markt, czyli maszyna do szycia i stacja pary powędrowały do duetu Monika Wierzchowska i Paulina Bździkot. Connie Vaever wręczyła indeks na wybrany kierunek studiów na uczelni VIA Design z Danii. Trafił



Fot. Tomasz Kozłowski



on do Song Shuang'a z Chin, natomiast Aleksandra Jędryka z Chorzowa, studentka Wyższej Szkoły Sztuki i Projektowania w Łodzi będzie miała okazję dokształcać się w Instytucie Technologii i Projektowania Mody w Pekinie. Stypendium w wysokości pięciu tysięcy złotych trafiło do Mai Kusińskiej z Kielc.

W tej edycji Off Fashion każdy z projektantów, który znalazł się w finale, otrzymał nagrodę w postaci dwudziestu kilogramów przędzy na stworzenie własnej dzianinowej kolekcji. Fundatorem nagrody był prezes fabryki Kristina Tex. Tradycyjnie Kieleckie Centrum Kultury, organizator Off Fashion, wręczyło wyjątkowe wyróżnienie „Przyjaciela Off Fashion” – tym razem dla Elżbiety Pańtak, dyrektorki Kieleckiego Teatru Tańca. Oprócz projektantów nagrodę dostała również najlepsza modelka XVIII edycji, tytułowa Muza. Została nią Patrycja Cedro.

W ramach konkursu zorganizowano również kilka imprez towarzyszących. Jeszcze w maju widzowie

mogli oglądać pokaz mody „za stalową kurtyną” Łukasz Jemioły, kolekcja „SS 2016”. Propozycje na każdą porę dnia, suknie, sukienki, spodnie, garnitury. Kilka dni później w Galerii Sztuki Współczesnej „Winda” odbył się wernisaż wystawy malarstwa Olgi Wolniak, prezentującej kolorowe wzory tkanin przeniesione na płótna. Na małej scenie Kieleckiego Centrum Kultury odbyła się konferencja naukowo-artystyczna „Moda na fotografię mody – inspiracje, muzy, trendy”. Dwa dni później w Galerii „Echo” miał miejsce Wieczór z Hexeline – Przyjaciół Off Fashion. Swoje kolekcję również zaprezentowały laureatki nagrody Hexe Talent Marlena Czak oraz Aneta Larysa Knap. Tuż przed półfinałami, już po raz trzeci, Off Fashion wspólnie z sympatykami konkursu ze stowarzyszenia „Młodzi Demokraci” zorganizowali sprawdzian czyli Wielki Test Wiedzy o Modzie. Zwycięzcą został Jarosław Panek.

Off Fashion to wydarzenie istotne w kalendarzu każdego sympatyka mody – zarówno projektanta jak i konsumenta. ■



Fot. Tomasz Kozłowski



Marsz modnych zombie

Emmanuella Robak

Zachodnia refleksja nad współczesną kulturą popularną i medialną zdecydowanie różni się od tej, która prezentowana jest na naszym rodzimym gruncie. By tę myśl ujednolicić powołano do życia Ośrodek Badawczy Facta Ficta, którego zadaniem jest umożliwianie dyskursu nad współczesnymi zagadnieniami dla uznanych w środowisku teoretyków i badaczy, ale także dla chętnych do dyskusji studentów, doktorantów i entuzjastów danego zagadnienia.

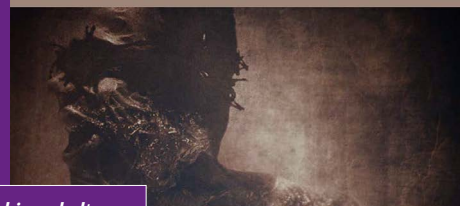


Fani umarłaków od jakiegoś czasu nie mogą narzekać na brak inspiracji.



Zombie w kulturze

redakcja
KSENIA OLKUSZ



Zombie w kulturze,

redakcja Ksenia Olkusz

161 s.; 28 cm

Kraków: Ośrodek

Badawczy Facta Ficta, 2016

316.7:398.4

PERSPEKTYWY PONOWOCZESNOŚCI • TOM I

OŚRODEK ZOSTAŁ ZAŁOŻONY przez Ksenię Olkusz i Krzysztofa M. Maja. Pod skrzydłami Facta Ficta ukazało się już kilka wydawnictw, a co jakiś czas ośrodek organizuje ogólnopolskie i międzynarodowe kongresy, sympozja naukowe oraz cykliczne konferencje, których tematyka oscyluje wokół np. świata grozy, światów poza światem czy dyskursu gier wideo.

24-25 kwietnia 2015 w Centrum Informacji Naukowej i Bibliotece Akademickiej w Katowicach odbyła się konferencja zatytułowana „Zombie w kulturze”. W roku 2016 ukazała się pokonferencyjna monografia o tym samym tytule.

Fani umarłaków od jakiegoś czasu nie mogą narzekać na brak inspiracji. Kolejne sezony bijącego rekordy popularności serialu „The Walking Dead”, zombie walk, cała lista casualowych gier dostępnych na PC, androida czy IOS, premiery filmów o zombie, wyświetlanie kultowych już tytułów o żywych trupach, a nawet dosyć popularna ostatnio moda „w stylu” zombie (im więcej poszarpanych dziur w ubraniu tym bardziej... zombie?) świadczą o popularności tego nietypowego zagadnienia. *Człowiek człowiekowi wilkiem, a zombie zombie zombie* – jak mawia nowe powiedzenie popularne w środowisku fanów tematu. Okazuje się jednak, że zombie jako fantastyczna, nieumarła postać, stało się figurą wielowymiarową. Wieloaspektowość jej znaczenia, co podkreśla Ksenia Olkusz w przedmowie do monografii, sprawia, że wobec nieumarłych trudno już przejść obojętnie, skoro tematyka zalewa nas masą interpretacji.

Monografia podzielona jest na trzy części, które łącznie zawierają osiemnaście różnych artykułów

tematycznych. Pierwsza część skupia się na ukazaniu zombie w kulturze politycznej. Składają na nią trzy artykuły, które pokazują bardzo ciekawą (i ponowoczesną) interpretację zagadnienia – od queerowego zombie po neoliberalne.

Część druga przedstawia zombie w kulturze wizualnej. Tu czytelnik dowiaduje się o figurze wykorzystywanej w serialach, grach komputerowych, a nawet na wybiegu modowym. Ta część skupia się także na dosyć ciekawym zagadnieniu zombie-nazistów, ewolucji wizerunku zombie w grach wideo czy epidemią jako elementem światotwórczym „Star Crafta II”.

Trzecia odsłona ukazuje zaś zombie w kulturze pisma. „Archeologia zombie”, „Bachtinowskie odczytanie narracji o żywych trupach”, biblijne tropy czy metaforyczne przedstawienie figury zombie to zagadnienia, które stanowią kanwę artykułów.

Niezależnie więc od tego jakie są preferencje czytelnika – dyskurs polityczny, kultura wizualna, gry komputerowe czy narracje postapokaliptyczne, monografia spełni jego oczekiwania. Propozycja wydana przez Ośrodek Badawczy Facta Ficta, to pozycja nie tylko dla fanów tematu, ale szerzej – dla sympatyków współczesności, topowych zagadnień medialnych, świata rozrywki, a nawet dyskursu społeczno-politycznego.

Wilkołaki są już nudne, wampiry też jakby trochę passé więc bądźmy modni jak zombie. Zwłaszcza, że nawet US Army, która jeszcze kilkanaście lat temu miała specjalny oddział doskonalący techniki rycerzy Jedi, teraz opracowała strategiczny plan na wypadek inwazji żywych trupów. „Keep calm and kill zombies” jak głośno słynny slogan. ■

Stylowe kino grozy

Piotr Kletowski **Wśród filmów, które wzbudziły moje najwyższe uznanie w filmowym roku 2016, było z pewnością najnowsze dzieło Nicholasa Windinga Refna „Neonowy demon”, film, który miał premierę podczas zeszłorocznego festiwalu w Cannes, gdzie podzielił widownię: na jego zagorzałych zwolenników i równie oddanych przeciwników.**



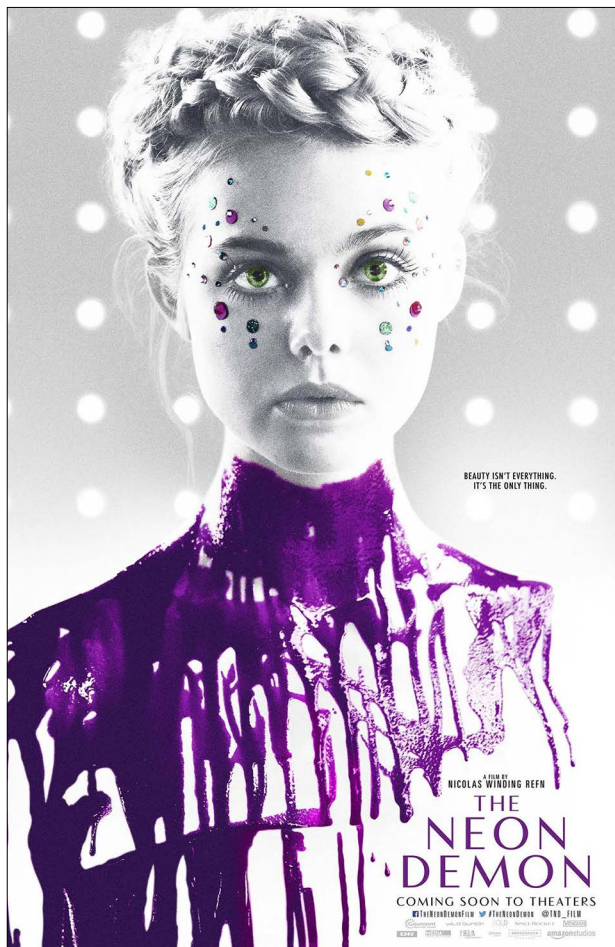
ZRESZTĄ I WCZEŚNIEJSZY FILM NWR (bo od „Neonowego demona” tak właśnie podpisuje się Refn) – moim zdaniem równie znakomity obraz – mitologiczny, krwawy film akcji, rozgrywający się w Tajlandii pt. „Tylko Bóg wybacza”, także miał premierę w Cannes (2013) i równie mocno podzielił publiczność. Tym razem jednak Refn docisnął pedał gazu do dechy, jeśli chodzi o ukazaną na ekranie przemoc i obrazy seksualności, tworząc coś w rodzaju filmowej celebracji, kinematograficznej „Czarnej Mszy”, która przy całym swym audio-wizualnym bliznie jest jednocześnie atakiem na patologie trawiące współczesny świat celebrytów. Ludzi, dla których piękno fizyczne jest wszystkim. Przy tym „Neonowy demon” to także wspinały hołd złożony kinu grozy, zwłaszcza europejskiej jego odmianie, realizowanej od lat – nastych przez niemieckich, francuskich, brytyjskich, ale także skandynawskich filmowców, do których dzieł obraz Refna odwołuje się w sposób bezpośredni (pierwszy horror na temat czarownic i krwawych ofiar z ludzi – tematy podjęte w „Neonowym demonie” – zrealizował krajan Refna, duński reżyser Benjamin Christiansen, tworząc, w 1922 r. film „Czarownica” – czarodziejstwo

na przestrzeni wieków, gdzie ze szczegółami, zostały odtworzone satanistyczne rytuały, rzekomo odprawiane przez czarownice w wiekach średnich).

Rzecz jasna twórca „Neon Demon” nie ogranicza się li tylko do kina grozy i to do kina grozy ze Starego Kontynentu. Ten z pozoru prosty film pełen jest odniesień do okultystycznego kina ojca amerykańskiej awangardy filmowej Kennetha Angera – twórcy malowniczych, okultystycznych impresji, takich jak „Powstanie Lucyfera” czy „Prezentacja mego brata Demona” – w latach 50. i 60. ożywiających eksperymentalne, niezależne kino zza oceanu. Co ciekawe Anger, zanim sam zajął się realizacją filmów, napisał niezwykle książkę „Hollywoodzki Babilon” – rzecz nie do ominięcia przez wszystkich historyków kina na prawdę interesujących się historią Hollywoodu. Także jego ciemną stroną, bo książka Angera jest hollywoodzkim pitavalem, opisującym najbardziej kontrowersyjne (związane zwykle z seksem, przemocą i używkami) „dokonania” „bogów” i „bogiń” dużego ekranu. Największą część książki autor poświęca... szczegółowym opisom mniej lub bardziej gwałtownych zejść słynnych reżyserów, aktorów i aktorek. Z pewnością reżyser „Neonowego demona” musiał inspirować się literackim i filmowym dziełem reżysera „Lucifer Rising”, kiedy konstruował fabułę swego obrazu.

Bohaterką „Neonowego demona” jest młoda, śliczna dziewczyna o imieniu Jesse (Elle Fanning), która przybywa do Los Angeles, by rozpocząć karierę modelki. Tam spotyka dwie inne dziewczyny, od lat prezentujące swe wdzięki na wybiegach i modowych zdjęciach (Bella Heathcote i Abbey Lee), iak również staje się przedmiotem westchnień Ruby (wspaniała, odważna rola Jany Malone, dotychczas kojarzonej z filmami dla młodzieży) – wizażystki, upiększającej dziewczyny przed fotograficznymi sesjami. Sprawy szybko się komplikują, kiedy uroda, wdzięk i świeżość Jesse wzbudza podziw i zazdrość otoczenia, a wokół dziewczyny gromadzi się jakaś niepokojąca, dekadentka i destruktywna energia, kumulująca się w mniej lub bardziej dramatycznych wydarzeniach. Takich jak nocna „wizyta” dzikiej pantery w motelowym pokoju zajmowanym przez Jesse: mordercza aktywność właściciela motelu (w soczystym epizodzie Keanu Reeves); uczestnictwo w wyuzdanej, narkotycznej zabawie, rozpoczynając się hipnotyzującym pokazem seansu bondage (w której skrępowana,





naga dziewczyna wiruje w rytm elektronicznej muzyki i stroboskopowego oświetlenia); czy też niespodziewane wybuchy przemocy (zwykle masochistycznej) uskuteczniane przez „koleżanki” Jessie.

Dziewczyna, choć z pozoru niewinna i zszokowana wydarzeniami, których jest świadkiem, z wolna zostaje wchłaniana przez ten wysoce perwersyjny, tętniący psychiczną i fizyczną przemocą, a nade wszystko przesycony erotyzmem świat. W drodze na szczyt wydaje się poświęcić wszystko, łącznie z miłością chłopca – początkującego fotografa, którego zdjęcia Jessie (również perwersyjne, bo ukazujące dziewczynę jako niezwykle seksownego... trupa z podciętym gardłem) otworzyły przed dziewczyną możliwość pracy w modym biznesie. Historia dziewczyny – jak w koszarnej wersji „Alicji po drugiej stronie lustra” Carolla – zmierza do wprost wstrząsającego finału, który – żeby nie zdradzać go tym, którzy nie mieli jeszcze przyjemności zobaczyć filmu – jest sekwencją ukazującą krwawą celebrację, podczas której jedna z bohaterek filmu zostaje... zabita, poćwiartowana i zjedzona przez pozostałe bohaterki. Jeśli dodamy do tego, ukazaną ze szczegółami, scenę nekrofilii, którą na ślicznym trupie zmarłej aktorki dopuszcza się desperacko szukająca uczucia Ruby, to wydawać by się mogło, że najnowszy film Refna jest po prostu nie do oglądania.

Otóż nic bardziej mylnego! Ten przedziwny, przypominający koszmarny sen film jest na swój sposób niezwykle piękny. Dzięki wprawnej reżyserii twórcy „Tylko Bóg przebacza”, nawet najbardziej wstrząsające, żeby nie powiedzieć obrzydliwe sceny, stają się czymś w rodzaju artystycznej celebracji, seansami glamourowego piękna, oscylującego na granicy (być może nawet przekraczającego tę granicę) kiczu. A jeśli nawet śmiało przechodzącego na „drugą stronę filmowego lustra”, to po to, by uzyskać wymiar filmowego kampu: estetyki przesytu, programowej, nadmiernej audiowizualnej egzaltacji, nie liczącej się absolutnie z tzw. dobrym smakiem (a przez to ustanawiającej nowe kanony estetyczne w obrębie kinematograficznej prezentacji). Z pewnością „Neonowy demon” jest ostrą audiowizualną „jazdą”, ale przecież przetwarza ona obrazy, wątki, filmowe rozwiązania już istniejące w kinematografii, przyswajane przez genialnego samouka NWR, który u początków swej kariery porzucił szkołę filmową, by zrealizować swój pełnometrażowy debiut (obraz „Diler”, 1996). Sceny lesbijskich godów, jakie wypełniają kadry „Neonowego demona”, jako żywo przypominają te, realizowane przez słynnych mistrzów erotycznego kina wampirycznego: Jeana Rollina (twórcy słynnego „Gwałtu wampira”, 1968) i Jesusa „Jessa” Franco – którego „opus magnum”, kobieca wersja „Draculi”: „Wampiryczne lesbijki” (1971) od lat podbijają serca miłośników „glamourowego” kina grozy klasy „B”. Słynna „Suspiria” (1977) Dario Argento – klasyczny, włoski horror o walce młodej baleriny z legionem czarownic zasiedlających szkołę baletową – również patronuje tej tętniącej kolorami, a przy tym „coolowej” wizji podpisanej przez duńskiego reżysera. Także przywoływany wcześniej w tym miejscu Kenneth Anger (tym razem filmowiec) patronuje szokującym (ale na swój sposób niezwykle fotogenicznym) sekwencjom kończącym film.

Przykłady można by mnożyć, najważniejsze jednak, że choć NWR układa swój film z istniejących już „klocków” własną wizję, mroczną, pełną grozy i tajemniczości, odświeżającą zło tętniące pod powierzchnią świata piękna, celebry, „wiecznej młodości”, będącej w swej istocie emanacją totalnej pustki, rozpościerającej się w sercach bohaterów filmów, jak i w świecie przez nie zapętlanym. Bogactwo, barok, neon kalifornijskiego „Królestwa piękna” jest pozorny, skrywa totalną pustkę, egzystencjalną próżnię, którą szybko wypełnia to, co destrukcyjne, złe, okrutne i perwersyjne (ale co, paradoksalnie) świetnie wygląda na dużym ekranie. ■

4 kobiety, 4 style, 4 myśli, 1 mianownik

Oliwia Hildebrandt

nonszalancja i kobiecość ze skromnością,
minimalizmem i męskością



Zacznijmy od mianownika. Galeria XS Instytutu Sztuk Pięknych UJK w Kielcach stworzyła możliwość prezentacji autorskich projektów i po części kolekcji ubrań. Stosownie do różnorodności nasuwa się pytanie czy autorki kreują siebie i swój styl, czy mają ofertę otwartą, czy może realizują zaistniałe w ich mniemaniu potrzeby... a może coś innego?



Fot. Oliwia Hildebrandt

CZTERY KOBIETY I CZTERY RÓŻNE autorskie projekty. Na wystawie prezentowane są zdjęcia z sesji mody, projekty rysunkowe i wybrane sylwetki obszytych projektów.

Joanna Łuczaj stworzyła kolekcję spokojną i uniwersalną, w której przyznaje się do inspiracji kosmo- sem. Mocno wyeksponowany i multiplikowany element koła stanowi motyw przewodni projektu. W technice sitodruku na tkaninie zyskuje indywidualną materię. Formalizm, prostota, uniwersalizm, przyświecały projektowaniu kolekcji, przez co powstały proste i ponad- czasowe kreacje. Dla autorki ważne było zestawienie tkanin na zasadzie przeciwieństw: potysk – mat, gład- kie – nadrukowane. Zamierzeniem artystki było stwo- rzenie takich elementów ubrania, które powinny dać się dowolnie łączyć w nowe stylizacje.

Ewa Ostaficzuk-Olbrychska odnalazła inspi- racje w latach 40. ubiegłego wieku, nawiązując do kli- matu filmu „Pokuta” („Atonement”) Joe Wrighta, i tak zaprezentowała kreacje ciekawe formalnie z uwagi na kontrastowe, aczkolwiek harmonijne zestawienia non- szalancji i kobiecości ze skromnością, minimalizmem i męskością. Kolekcja ta w zamierzeniu autorki ma po- kazywać niejednoznaczność, zestawienia skrajności, za pomocą subtelnych środków wyrazu.

Iwona Owczarczyk strzeliła w dziesiątkę. Inspi- racja stylem militarnym, który został podkreślony cha- rakterystycznymi detalami w postaci metalowych zam- ków i oczek oraz zapożyczonym elementem ze stroju wojskowego – szewronem – jest w pełni czytelny. Ja- kość tkanin, klasyczne połączenia wełny, skór i dziani- ny, w zamyśle projektantki miały spotęgować poczucie komfortu i wyjątkowości, podobnie jak skórzane akce- soria, torebki, paski, które zwykle są potrzebne każdej kobiecie. Kolekcję wyróżnia oryginalność.

Grażyna Szczepanek, inna od reszty, bo zainspi- rowana sztuką ludową, motywem kwiatów tak charak- terystycznie przetworzonym. Zapożyczenie elementów rustykalnych zaowocowało zamieszczeniem wstawek materiału o kwiatowym, kolorowym pryncie, podobnie jak dopełniające projekt akcesoria w postaci goździ- kowego wianka. Dodatkowym polem inspiracji dla autorki stała się muzyka folkowa zamykająca nawias projektu.

Paweł Chmielewski

London calling

Celowo zaczynam od tytułu najważniejszej, trzeciej w dorobku, płyty The Clash (1979). To było apogeum – prawie dwudziestoletniej – dominacji kulturowej Londynu. Potem zaczyna się już powolne wygaszanie, od śmierci Iana Curtisa i założenia przez jego kolegów New Order i największego sukcesu „Blue Monday” (1983). Muzyczne, literackie, teatralne, glamourowe centrum – głównie za sprawą disco i hip-hopu przenosi się za ocean.

NA RAZIE JESTEŚMY W ROKU 1967 – od ponad dekady panują w kinie i teatrze „młodzi gniewni”. Ich papież John Osborne jest już prawie klasykiem, laureatem Oscara za scenariusz. Beatlesi i Stonesi wywołują historyczne szaleństwo tłumów. Roman Polański jest uwielbianym przez tabloidy celebrytą, wszyscy o nim mówią, chociaż „Wstręt” (którego seans stał się początkiem głośnego romansu Marianne Faithfull i Micka Jaggera) i „Matnię” mało kto widział, a jesz-

Z popkultury uczynili narzędzie walki ze skostniałą formą społeczną.

cze mniej osób zrozumiało. Ale jest rok 1967 – rozkwit kultury – do Londynu przyjeżdża „Paganini gitary” – Jimi Hendrix. Jeszcze nie jest sławny. I w tym punkcie czasoprzestrzeni zaczyna się książka Piotra Szaroty „Londyn 1967”. Autor, profesor w Instytucie Psychologii PAN, nominowany do Literackiej Nagrody Nike w 2014 r. za „Wiedź 1913”, kreśli mozaikowy portret stolicy Wielkiej Brytanii, podzielony na dwanaście rozdziałów-miesięcy, które powoli przekonują czytelnika, że nawet, jeśli wiedział dość dużo o rewolcie lat 60., to parę istotnych szczegółów mu umknęło.

Dość zaskakująca jest konstatacja, rozdźwięk między potocznym pojmowaniem złotych sześćdziesiątych lat wolności, a opresyjnym, prawie autorytarnym działaniem brytyjskiego systemu prawnego. „Gośćmi” oślawionego więzienia Brixton, często pod absolutnie błahym pretekstem, za to przy nieustannym jazgocie

konserwatywnych mediów, pokazowych aresztowaniach z kamerami telewizji i dziesiątkami fotoreporterów, byli prawie wszyscy bohaterowie książki, włącznie z sędziwym Bertrendem Russellem. Szarota tworzy obraz

Piotr Szarota
Londyn 1967
408 s. ; 20 cm
Warszawa : Wydawnictwo Iskry, 2016
78.071(410);78.011.26(410);821.111(091)*19*

ludzi, którzy nie pozwolili się przykroić do sztywnych norm, z popkultury uczynili narzędzie walki ze skostniałą formą społeczną. 1967, to symboliczny rok brytyjskiej wolności.

Ta książka pisana jest po angielsku, z trudną do zdefiniowania, ale natychmiast rozpoznawalną dla anglosaskiego dziennikarstwa i eseistyki swobodą. Pełną dygresji, które – pozornie szybując się w różnych kierunkach – powracają do przeszłości bohaterów, ujawniają ich późniejsze losy, kreślą bogate tło, lecz wciąż trzymają się tematu głównego opowieści, którym jest rozszerzający się – w geometrycznym postępie – obszar wolności. Szarota buduje każdy z rozdziałów wokół zjawiska – narkotyków, fascynacji szaleństwem, seksualnego wyzwolenia, alternatywnych religii, mody, celebry, cenzury i undergroundowej prasy.

Londyn staje się Mekką emigrantów, wyracających brytyjską awangardę jak Yoko Ono i Themer-sonowie, areną ekscentrycznych podróży Andy’ego Warhola, o którego pobycie warto przeczytać, chociażby po to by ujrzyć pajęczynę łączącą austro-węgierskiego arystokratę z sadomasochizmem, Lou Reedem i marzeniami pewnego reżysera. To świat, w którym – jak nigdy dotychczas – zaczyna liczyć się wizerunek. Gwiazdami stają się modelki, prążkowane spodnie Julie Christie, fotografowie mody to niemal bogowie – wspa- niale uchwyceni przez Antonioniego w „Powiększeniu”.

Dziwny rok rozpoczęty kosmicznym koncertem Hendrixa, a zakończony ekranizacją „Odysei kosmicznej” przez Kubricka. „Londyn 1967” – podobnie jak monografię Reynolds’a o postpunku („Projektor” 3/2015) – trzeba czytać ze słuchawkami na uszach i zestawem płyt, od „bananowego” The Velvet Underground do „białego albumu” liverpoolskiej czwórki.





Marcel Woźniak
Biografia Leopolda Tyrmandy. Moja śmierć będzie taka, jak moje życie

461 s. ; 24 cm
Warszawa : Wydawnictwo MG, 2016
821.162.1(091)19-929-052(438)19-94(73)19*

Legenda w kolorowych skarpetkach

Agata Orłowska

OPRÓCZ POPULARYZOWANIA UKOŃCZONYCH, ale też nieukończonych (konkurs na dokończenie minipowieści „Wędrówki i myśli porucznika Stukutki”) dzieł Tyrmandy, Wydawnictwo MG pochwalić się może już dwiema pokaznymi notami o samym autorze. Nic dziwnego, trudno bowiem o barwniejszą personę szaroburej rzeczywistości PRL-u, której losy doczekały się niejednej legendy, anegdoty i konfabulacji, wartych naświetlenia. O tym, gdzie kończyła się prawda, a zaczynała literacka i dziejowa fikcja w życiu autora „Złego” najlepiej dowiadujemy się z wydanej w 2016 r. książki „Biografia Leopolda Tyrmandy. Moja śmierć będzie taka, jak moje życie”.

Jej autor, Marcel Woźniak, z zawodu dziennikarz, autor scenariuszy seriali telewizyjnych dla TVN i Polsat Cafe, by przedstawić zawite i ekscytujące losy swojego bohatera, przemierzył kawał świata i spotkał się z setkami ludzi. Bogaty materiał, jaki zdołał zebrać z detektywistyczną wręcz precyzją i wnikliwością, a przy tym szeroki kontekst opowieści – od najstarszych do najmłodszych przedstawicieli rodu, pozwala uznać biografię za najpełniejszą. Zestawiając ją z pozostałymi, nota jest nie tylko najbardziej kompleksowa, ale też najbardziej udokumentowana – opatrzona bowiem licznymi śladami w postaci zdjęć, korespondencji,

„Nie miałam o tym pojęcia. To wzruszające” miał usłyszeć autor od Rebekki Tyrmand, podczas jednej z rozlicznych rozmów o najnowszej biografii najbardziej kolorowej postaci Polski powojennej. Słowa córki nieżyjącego już od przeszło 30 lat, a właśnie teraz przeżywającego swój pośmiertny benefis, Leopolda Tyrmandy, to nie jedyny dowód zasług biografisty Marcela Woźniaka.



kontestator komunizmu, autor największego polskiego bestselleru, ikona dobrego stylu, rzecznik nieskrępowanej afirmacji życia



maszynopisów, ulotek, wycinków z gazet, a także niezliczonych wspomnień, jakie Lolek zostawił po sobie w Polsce i na świecie.

Co takiego sprawiało, że tak bardzo się wyróżniał? Woźniak przybliży sedno sprawy w przekrojowy sposób. Bez wyrokowania ukazuje zalety i wady fascynującego człowieka od strony ambicjonalnej, zawodowej, towarzyskiej, rodzinnej, ideowej, muzycznej i szeroko pojętego sposobu bycia. Tyrmand to przecież błyskotliwy as reportażu m.in. „Przekroju” i „New Yorkera”, kontestator komunizmu, autor największego polskiego bestselleru, ikona dobrego stylu nie tylko w polszczyźnie, ale i w obejściu, rzecznik nieskrępowanej witalności i afirmacji życia, poliglota, twórca pierwszych w Polsce jazzowych festiwali. Przyjaciół Mrożka, Herberta, Gombrowicza, Wojtyły. Niepraktykujący Żyd, trzykrotny mąż dużo młodszych od siebie kobiet, ojciec dwójki dzieci.

Jego strój przeszedł do historii, stając się symbolem elegancji i sprzeciwu wobec socrealistycznej bylejakości. Nie wszyscy, a już na pewno nie środowisko polskich literatów, akceptowali kolorowe skarpetki i wzorzysty krawat z doszywanymi raz po raz kotnierzycami, odcinanymi z pleców koszul, w których brak materiału zakrywała charakterystyczna marynarka. Choć lubił mówić o sobie „były kelner”, przez większość życia realizował się, jako walczący nie tylko piórem, ale też miłością do jazzu i ekstrawaganckim ubiorem piewca wolności – najpierw w ukochanej Warszawie i krajach Europy, później – choć nieco przewrotnie – za Wielką Wodą. To stamtąd jego legenda po wielu latach powraca, ożywiając niezwykłą osobowość zarówno literacko, jak i biograficznie. ■



Narcyz czwartej władzy

Małgorzata Angielska

O tym, że media i wszelkie związane z nimi narzędzia pracy tracą na wartości, nie trzeba nikogo przekonywać. Dzięki rozwojowi techniki i technologii dziennikarzem może być każdy. Jednak, co zrobić w momencie, gdy podstawową cechą takiej osoby staje się nie misyjność a celebrytizm? – na to pytanie próbuje odpowiedzieć w swojej książce prof. Wiesław Godzic.

Chcemy igrzysk, a nie sensu

AUTOR „OKRAKIEM NA BARYKADZIE. Dziennikarze i celebryci” jest cenionym medioznawcą, filmoznawcą i socjologiem. Wykłada w Szkole Wyższej Psychologii Społecznej na Wydziale Nauk Humanistycznych i Społecznych. Znane są inne dzieła Godzica, m.in. „Znani z tego, że są znani. Celebryci w kulturze tabloidów” (2007) czy „Kuba i inni. Twarze i maski popkultury” (2013).

W najnowszej swojej książce porusza się wśród kluczowych zagadnień jak: kulturowe relacje między dziennikarstwem klasycznym a jego rozrywkowym i celebryckim obliczem, przybliży wyniki badań innych specjalistów, tj. Andrei McDonell, która zajmowała się przez rok śledzeniem tematyki i tropów w kolorowej prasie, głównie przeznaczonej dla kobiet. Godzic skupia się na tym, jaką funkcję sprawuje obecnie przedstawiciel czwartej władzy: czy jest nieświadomym celebrytą, czy antycelebrytą, a może łączy obie cechy naraz i sprawnie manipuluje opinią publiczną.

Autor odwołuje się do opinii osób z branży dziennikarskiej. Przytacza puentę Marka Zająca „Chcą igrzysk, nie sensu”. Odnosi się to do bezideowości w mediach, do zubożenia gustów odbiorców i – co jest zatrważające – dostosowania się do gustów publiczności. Wniosek, jaki się nasuwa od lat, brzmi – o czym pisał już pół wieku temu Kapuściński – media ulegają zidioceniu. Dziennikarz miał nieść oświecenie, świadomość i podkreślać ważny temat po to, aby przeciętny człowiek chciał wiedzieć więcej, próbował zdobyć wiedzę z wielu źródeł. Obecnie trudno jest się doszukać jednostek pragnących takiego „skomplikowanego”, dającego do myślenia procesu poznawania świata.

Wiesław Godzic
Okrakiem na barykadzie. Dziennikarze i celebryci
378 s.; 24 cm
Warszawa: Prószyński Media, 2016
050+070:316.7(438)(047)

U podstaw tej dawniej prestiżowej funkcji społecznej była przede wszystkim misyjność, bezwarunkowe oddanie sprawie i poświęcenie nawet całego życia służbie, nie zawodowi. Dziennikarz to outsider mający warsztat – obecnie jest wielu takich, którzy nawet nie potrafią pisać, bo nikt ich tego nie nauczył. Kapuściński na konferencji prasowej w Afryce w 1963 r. (przyp. W. G., „Okrakiem...”) powiedział, że to koniec pewnej epoki zawodu mistrzowskiego, który był dumnym powołaniem. Trudno się z tym nie zgodzić. Godzic podkreśla, że obecnie nie jest w stanie dostrzec sytuacji, żeby reporterzy prawie się zabijali o to, kto pierwszy poda newsa, kto jest bardziej skrupulatny i wiarygodny, a także obiektywny.

„Wydarzenie-mit” funkcjonuje na wzór celebryty (amerykańskiego), a telewizor daje uczestnictwo bez odpowiedzialności, gdzie dawniej nadrzędną cechą relacji widz-medium była współodpowiedzialność. Etos dziennikarza uległ zmianie, zdecydowanie brak zespołowości, widoczne są indywidua, które w rzeczywistości powielają ten sam wzorzec – sławnego, bogatego, ale nie pierwszego w swoim fachu. Wspomniani w publikacji, m.in. Kuba Wojewódzki, Karolina Korwin Piotrkowska czy Monika Olejnik poprzez krytykowanie celebrytów sami stali się nimi. Wojewódzki gra antycelebrytę i jawnie prowokuje swoich odbiorców poprzez media społecznościowe, jak Instagram czy Twitter, co czyni go niewiarygodnym – nadal – dziennikarzem.

Przedstawiciel czwartej władzy nie może być cynikiem, ponieważ nie jest w stanie dobrze, tj. obiektywnie pisać. Musi on mieć dobre serce, otwarty umysł, pracować zbiorowo na sukces swojego zespołu, nie na indywidualne osiągnięcia. Dobry dziennikarz powinien zniknąć, intencjonalnie szukać i mieć własny cel oraz pragnąć zmiany, co nie równa się z narcyzmem celebrytów. W jaką stronę zmierza czwarta władza? Na pewno nie do „globalnej wioski” McLuhanowskiej, tylko bliżej jej do „samotnego tłumu” Davida Riesmana, jak podaje autor. Uważam, że warto zapoznać się z tą pozycją dla większej świadomości.



Artur Wabik

Jak być hipsterem?

Na przełomie wieków, wraz z odejściem do lamusa historii walkmanów, magnetowidów i stacjonarnych telefonów, zniknęło coś jeszcze, co wydawało się znacznie bardziej ponadczasowe: subkultury. Być może wystarczyłoby napisać, że dziś nie ma już hippisów, punków, skinów, metali i skejtów, ponieważ wszyscy oni zamienili się w hipsterów. Jednak zjawisko zaniku subkultur jest nieco bardziej złożone, a jego przyczyn należy moim zdaniem szukać w dynamicznym rozwoju technologii, z Internetem na czele.

WSZYSTKO TO, CO PRZEZ dekady konstytuowało przynależność subkulturową, a więc przede wszystkim ubiór i muzyka, miało swoje osadzenie w konkretnym światopoglądzie. Dziś wygląd nie jest już manifestacją poglądów – nie idzie za nim żadna deklaracja, nie buduje niczyjej tożsamości.

Pedanci i niechluje*

Od zakończenia II Wojny Światowej każda epoka miała swój wiodący styl i związaną z nim subkulturę. W latach 50. XX w. w Wielkiej Brytanii byli to modsi, którzy charakteryzowali się pedantycznym sposobem ubioru. Chętnie



Nie ma już hippisów,
punków, skinów, metali
i skejtów, są tylko eklektyczni
hipsterzy-pozery,
z laptopami Appla,
w Raybanach zerówkach,
pijący sojowe latte ze
Starbucksu, jeżdżący na
ostrym kole i strzygący brody
w barber-shopach.



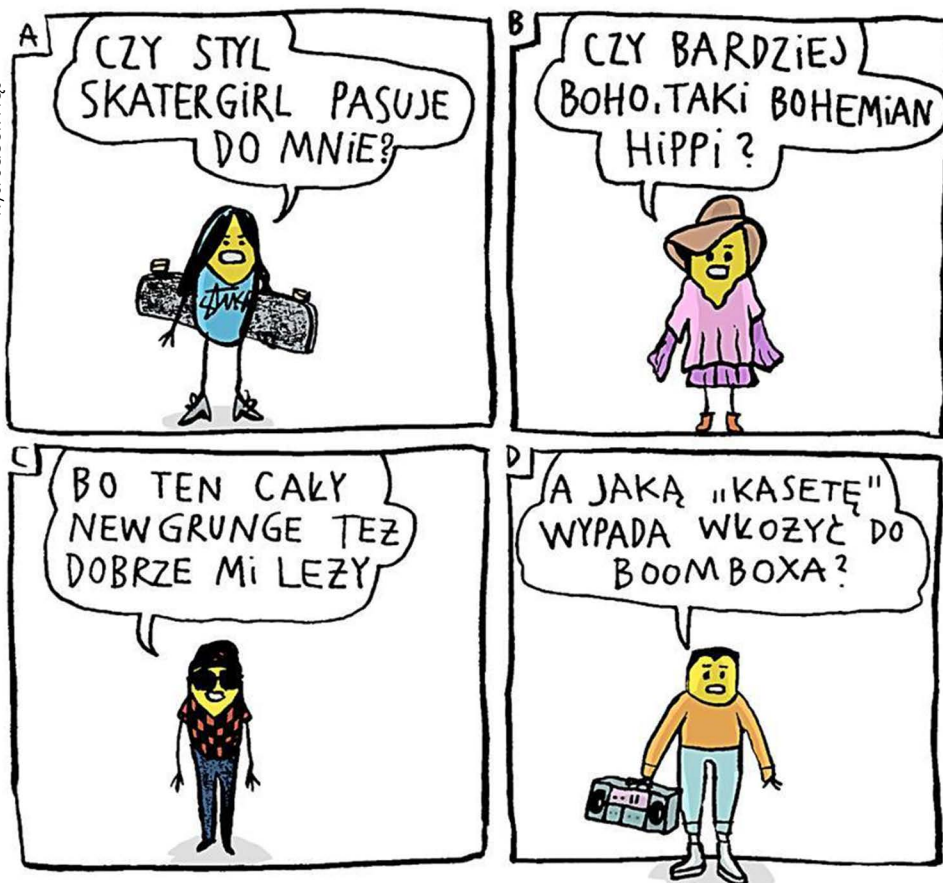
Zazous, potapek, malagambista

Polskim odpowiednikiem beatnika, występującym przeciw przyjętym normom obyczajowym, a przy okazji także przeciw rzeczywistości PRL, był biki-niarz. Etymologia nazwy wskazuje na bliski związek z atolem Bikini, od którego wzięt nazwę także słynny strój kąpielowy. W swoim „Dzienniku 1954” Leopold Tyrmand wspomina, że termin ten pochodził od popularnych w owym czasie krawatów, na których przedstawiony był grzyb atomowy, znany opinii publicznej ze zdjęć testów jądrowych na atolu Bikini w 1946 r. Słownik z przełomu lat 50. i 60. XX w. podaje następującą definicję biki-niarza: *młody człowiek ubierający się ekstrawagancko, w sposób przesadnie modny*.

Należy jednak pamiętać, że biki-niarzy łączyło przede wszystkim zamiłowanie do jazzu i kultury amerykańskiej. W pewnym sensie byli częścią ogólnoswiatowego ruchu młodzieżowego, wspólnie z tzw. *zoot suits* (USA), *teddy boys* (Wielka Brytania), *zazous* (Francja, Belgia), *malagambistami* (Rumunia), *potapkami* (Czechosłowacja) i *styladzami* (ZSRR). Buty na stoninie, wąskie spodnie i plerezy były wśród nich wyrazem konkretnych przekonań i postawy życiowej.

Patrząc dziś na stare fotografie stosunkowo łatwo przyporządkować je do danej epoki, ale podówczas subkultury podlegały ciągłym przeobrażeniom. W tym procesie jest widoczna pewna ciągłość. Na przykład z brytyjskich *teddy boys* wyewoluował z czasem ruch rockersów, który – choć zanika w drugiej połowie lat 60. XX w. – stał się podłożem dla subkultur takich, jak harleyowcy, ridersi, czy później punkowcy. Już u zarania silnie zideologizowane subkultury podlegały stopniowo dalszej

Rys. Jacek Fijał



radikalizacji. Pomimo, że pierwsze grupy skinheadów wywodziły się z połączenia modsów i rude boys (jamajskich chuliganów, stylizujących się na gangsterów z lat 50. XX w.), to stosunkowo szybko ruch ten przyjął kryteria czystości rasowej. Pierwsza fala skinów w zasadzie całkowicie ominęła Polskę, jeśli nie liczyć gitowców (git-manów), czyli chuliganów uprawiających przemoc dla rozrywki, którzy na przełomie lat 60. i 70. XX w. zajmowali się głównie nękaniami hippisów. Dopiero w połowie lat 70. XX w. nastąpiła ponowna eksplozja ruchu skinhead, który odrodził się jako reakcja na subkulturę punk. To w opozycji do niej skini zaczęli postulować „czystość”, zdyscyplinowanie, silny charakter, a z czasem także nacjonalizm i rasizm. Na przełomie lat 70. i 80. XX w. stylistykę wygolonych głów, bryczesów i podkutych butów zaczęły na swoim gruncie zaszczepiać neofaszystowskie partie z USA, Niemiec i Francji.

Dzieci kwiaty

Głównym zjawiskiem subkulturowym lat 70. XX w. był oczywiście ruch hippisowski. Rewolucja kontrkulturowa przyniosła zmiany obyczajowe, co znalazło odbicie przede wszystkim w modzie – także polskiej. Strój dzieci kwia-

rękodzielnictwa i zasady samowystarczalności. Lata 70. XX w. to początek kultury DIY (*do it yourself*), choć pojęcie to po raz pierwszy pojawiło się w kontekście punka. Hippisi obu płci chodzili boso, nosili długie, opadające na plecy włosy, często przyozdobione wiankami. Mimo silnych akcentów na zwalczanie obowiązujących konwencji ubioru, hippisi wykreowali jeden z najbardziej rozpoznawalnych stylów w modzie. Preferowali lekkie tkaniny w jasnych kolorach, wzornictwem nawiązujące do kultury rdzennych mieszkańców USA i Ameryki Południowej. Kwieciste, luźne bluzki z szerokimi rękawami i oczywiście charakterystyczne dzwonki, czyli wytarte jeansy z szerokimi nogawkami. Kolorowe koraliki, paciorki na szyi i przegubach dłoni, dzwonki, apaszki i bandany na włosach.

Silny wpływ na subkulturę hippisów miało upowszechnienie się psychodelików, które służyły im do rozszerzania świadomości. Zastuchane w Timothy'ego Leary'ego dzieci kwiaty przyjmowały coraz więcej marihuany, haszyszu, grzybów i LSD, aż wreszcie z *turn on, tune in i drop out* zostało tylko to ostatnie. Z czasem coraz więcej hippisów przetrząsało się na amfetaminę i heroinę, co przyczyniło się do upadku ruchu. Mimo to Rubikon został przekroczony i narkotyki, szczególnie te miękkie, na kolejne dwie



Punkowcy, Szczecin, lata 80. XX w.

sadzili ją w polu, w doniczkach. Pamiętam konopie rosnące na Woli. Policja nie wiedziała jeszcze, jak marihuana wygląda. Lata 80. XX w. to chyba najbardziej naćpana dekada w historii PRL.

Nie jestem tym czym jesteś ty

Znaczna część subkultur powstawała w bezpośredniej opozycji do już istniejących. W marcu 1978 r. w Poznaniu odbył się debiutancki koncert formacji „Walek Dzedzej Pank Bend”, określanej w niektórych źródłach jako pierwszy polski zespół punkowy. Maciej „Magura” Góralski, ówczesny członek zespołu Dzedzeja wspomina to wydarzenie – *Przyszeli tłum ludzi, full prawdziwych hipisów z koralikami i kwiatami, a my weszliśmy i tubudu! Napierdalałiśmy strasznie ostro, nie wiadomo było, o co chodzi, prawdziwy terror.* – a także – *To był pomysł Walka Dzedzeja, żeby być punkiem. (...) Zrobił sobie srebrne buty, powiedział „nie jestem tym czym ty” i postawił na negację wobec hipisów.* Jak wszystkie poprzedzające go subkultury, punk był nośnikiem buntu wobec establishmentu i zastanych struktur społecznych. Saksofonista Tomasz Świtalski tak opisuje idee punka – *Hipisi mieli Gierka, który zaspokoił ich rozszczenia na poziomie materialnym: dał im szynkę, jeansy i toberone w Pewexie. Polski punk dostał Solidarność, stan wojenny i całą resztę. Nie domagał się lepszego świata, ale chciał zniszczenia systemu (...).* Cate-mu pokoleniu udało się wyartykułować wspólny głos, co jest fundamentalne.

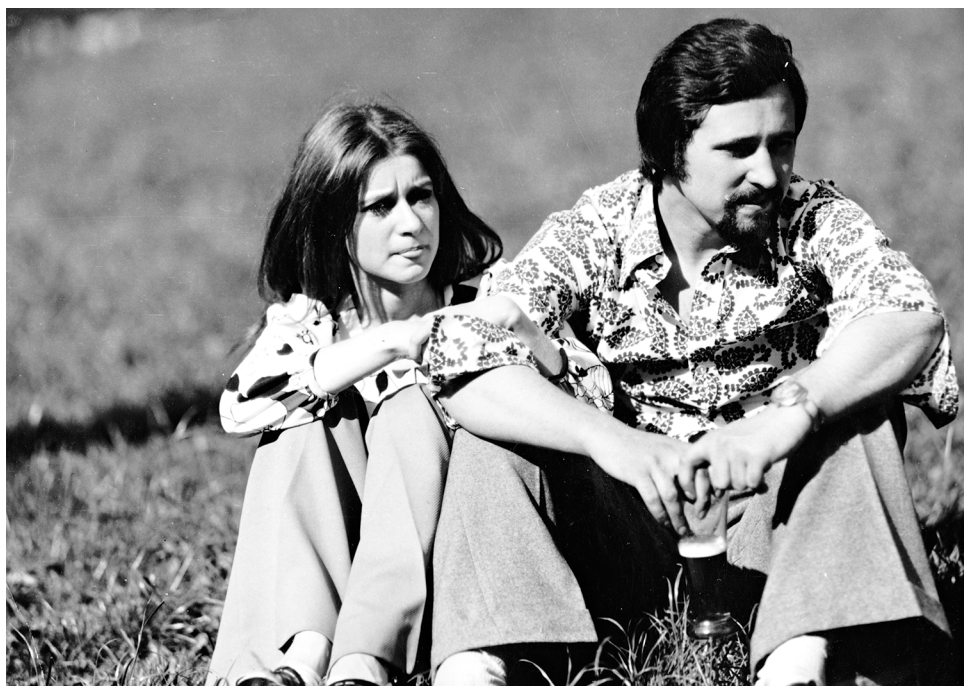
Mój pierwszy koncert punkowy to był „The Raincoats”. – wspomina Robert Brylewski, lider „Brygady Kryzys” – *Po tym koncercie oszalałem. Miałem 17 lat*



Punkowcy, Szczecin, lata 80. XX w.

tów miał wyrażać związek z naturą i być funkcjonalny, do tego w jak największym stopniu wykonany własnoręcznie. Większość hippisów sama szyła i tatała swoje spodnie i koszule, co wynikało z kultu

dekady wpisały się w kody subkulturowe. Warszawski punkowiec i anarchista, Tymoteusz Onyszkiewicz mówi, że pod koniec lat 80. XX w. w Polsce o marihuanę było łatwiej, niż o butelkę piwa – *Ludzie*



Hippisi, Kraków, lata 70. XX w.

i na drugi dzień chodziłem cały w agra-kach. Bycie punkiem w PRL, szczególnie z farbowanym irokezem na głowie, oznaczało ostracyzm ze strony większości, często także rówieśników.

Ekskluzywne mikroświaty

W latach 90. XX w. indywidualizm wyrażający się w sposobie ubierania, fryzurze, tatuażach i piercingu stał się powszechnie akceptowany. W drugiej dekadzie XXI w. stał się wręcz normą społeczną. Dorastanie w latach 90. XX w. miało tę zaletę, że każdy z nas był tym, na kogo wyglądał. Mocno ukonstytuowane subkultury miały swoją wyraźną tożsamość, która przejawiała się w zachowaniach, strojach i preferowanym rodzaju muzyki. Istniały określone miejsca, gdzie spotykały się i spędzały czas poszczególne grupy. Nieodłączną częścią budowania własnej tożsamości było określenie ekskluzywnej przynależności do którejś z nich. Między subkulturami istniały pewne animozje, ale nie wszystkie cechował ten sam poziom agresji. O ile punki i skini tłukli się ze sobą przy każdej możliwej okazji, o tyle schowani za swoimi długimi włosami metalę najczęściej odcinali się od tych sporów, zaś obwieszani łańcuchami skejci byli zainteresowani tylko skakaniem na deskach po schodach i poręczach.

Metalowcy pojawili się w Polsce na początku lat 80. XX w., lecz najliczniejsi byli w drugiej połowie dekady (lata 1986-1989). Charakteryzowały ich

długie włosy i „ramoneski” – skórzane, często nabijane ćwiekami kurtki, na które chętnie nakładali jeansowe kamizelki z naszywkami z nazwami ulubionych zespołów. Subkultura ta jako pierwsza pozostawiała swoim członkom swobodę w kwestiach światopoglądowych i rozwijała się w pewnym odosobnieniu od pozostałych. Heavy metal w przeciwieństwie do punk rocka był raczej platformą eskapizmu względem bieżącej sytuacji politycznej i społecznej w Polsce. Po przełomie 1989 r. do Polski dotarła z USA subkultura hip-hopu, której czterema podstawowymi elementami są: rap (MC), turntablizm (DJ), breakdance (B-boy) i graffiti (Writer). A także oczywiście marihuana. W latach 90. XX w. w Polsce wszystkich sympatyków hip-hopu określano błędnie „skejtami”, choć tylko część z nich rzeczywiście jeździła na deskorolce lub rolkach. Do nieodłącznych akcesoriów hip-hopowca należały sztruksowe lub jeansowe spodnie z obniżonym, niekiedy do wysokości kolan, krokiem. A także bluza z kapturem, sportowe buty typu sneakers i łańcuch, na końcu którego umocowane był portfel lub klucze. W późniejszym okresie klucze przewieszano na szyję, na tzw. smycz. Dobrze widziany był również gruby marker w tylnej kieszeni, służący do pisania tagów, czyli podpisów w stylu graffiti.

Disco polo pod klatką

W połowie lat 90. XX w. w krajobrazie wielkomiejskim pojawili się dresiarze.

Nie tworzyli zwartej subkultury w klasycznym rozumieniu, ale posiadali wyrażne wspólne cechy – mieszkali na osiedlach z wielkiej płyty, nosili odzież sportową, złote łańcuchy i bransolety, a wolny czas spędzali „pod klatką”. Najchętniej słuchali disco lub debiutującego w tamtym czasie disco polo. Postać stereotypowego dresiarza natychmiast przeniknęła do popkultury.

Od 1996 r. na łamach magazynu „Ślizz” (będącego nawiąsem mówiąc kolebką polskiej subkultury hip-hopu) zmagat się z nimi Jeż Jerzy. Był to konflikt symboliczny, ponieważ – jak śpiewa wokalista „Dezertera”, w piosence pt. *Od wschodu do zachodu* z 1998 r. – *Dresy przyszły ze wschodu/ Nie z Ameryki i nie z zachodu*. W 1999 r. w magazynie „Produkt” ukazał się pierwszy epizod kultowego komiksu „Osiedle Swoboda”, którego akcja osadzona była na bydgoskim blokowisku. Jego bohaterowie – Szopa, Wiraż, Smutny, Kundzio i Niedźwiedź – należeli do różnych subkultur, ale łączyło ich zamiłowanie do alkoholu i nienawiść do dresiarzy. Dresy szybko stały się antybohaterem zbiorowym polskiej kultury masowej. W 2002 r. środowisko dresiarzy obśmiała w swojej debiutanckiej książce Dorota Mastowska. Zdaniem socjologów zaistnienie tej subkultury jest efektem ubocznym polskiej transformacji ustrojowej.

Ta sieć przeklęta

Początek XXI w. przyniósł powolne topienie się subkultur. Istotną rolę w tym procesie odegrał Internet, w którym wygląd jest rzeczą całkowicie umowną. Koncepcję tożsamości sieciowej doskonale ilustruje słynny rysunek Petera Steinera z 1993 r. przedstawiający psa przed komputerem, który mówi: *W internecie nikt nie wie, że jesteś psem*. Po roku 2000 to właśnie do sieci przeniosło się życie towarzyskie subkultur, przesuując przy tym swój środek ciężkości w kierunku konkretnych zagadnień, jak np. komiks, gry video czy graffiti. Przykładowo w środowisku fanów mangi i anime (tzw. *otaku*) było sporo metali, ale też mniej ortodoksyjni punkowcy i hip-hopowcy. W poprzek dotychczasowych subkultur ukonstytuowało się także środowisko fanów gier video, gdzie główną linią podziału był rodzaj użytkowanej platformy. Warto przy tym wspomnieć, że jeszcze w latach 90. XX w. ważną rolę kulturotwórczą odegrały magazyny poświęcone grom komputerowym. To właśnie w nich pojawiły się pierwsze kolumny tematyczne dotyczące

mangi, anime czy seriali telewizyjnych. Wkrótce zaczęła się błyskawiczna emancypacja środowisk geek – osób obsesyjnie skupionych na swoich hobby.

Wraz z wejściem w dorosłość polskiego pokolenia Y, zainteresowanie przynależnością do dawnych subkultur zmalało niemal do zera. Mieszkańcy „globalnej wioski”, pracujący coraz częściej z domu – programiści, graficy komputerowi, blogerzy, youtuberzy, influencerzy i community managerowie – ubierają się tylko w to, co obejmuje oko kamery w ich laptopach. Cenią sobie przede wszystkim wygodę, zaś światopogląd manifestują przy użyciu memów na swoich profilach w portalach społecznościowych. W ten sposób moda całkowicie oderwała się od stylu życia.

Ważnym czynnikiem jest tu dostępność dóbr. Dzisiaj sklepy są pełne wszystkiego, więc nie trzeba sobie zadawać trudu wyrobienia strojów czy akcesoriów własnoręcznie. Na zdjęciach z lat 80. XX w. można zobaczyć ręcznie malowane koszulki, kurtki, buty, a nawet magnetofony. Dziś istnieją wyspecjalizowane firmy, które zrobią to za nas. Nie jesteś pewien, czy chcesz mieć tatuaż? Proszę bardzo – możesz kupić skórzane spodnie lub kurtkę z naniesionym ręcznie (maszynką do tatuażu!) rysunkiem. W ofercie są także buty. Dla niemowląt. Wydziarać, skórzane buty dla niemowląt.

Irokez asystentki prezesa

Tymoteusz Onyszkiewicz w latach 90. XX w. razem z kolegami anarchistami rozdawał ulotki w budynku giełdy w Warszawie – *By wejść do środka, musiałem zrobić sobie ładną fryzurę, wbić się w garnitur, wziąć czarną teczkę. Bardzo z tego powodu cierpiełem. Wygląd oznaczał wtedy osobowość.* – wspomina. Dziś całkowicie zatarty się granice estetyczne. Możesz nosić wąsy harleyowca i różowe legginsy, brodę, czapkę drwala i do tego spodnie w kantkę. To poniekąd wyzwalające, ale czy jesteśmy sobą? *Irokeza robią sobie dziś nawet sekretarki. To dzięki nam jest dziś większa swoboda obyczajów.* – konkluduje zdobywca punka Onyszkiewicz, po czym dodaje – *Ale nie udało się nam najważniejsze: zniechęcić ludzi do ultrapravicowych, nacjonalistycznych idei.*

W drugiej dekadzie XXI w. Internet, który zastąpił tradycyjne media, wypozycjonował na nowo zapomniane pojęcie: hipster. Z tą subkulturą jest trochę jak z dresiarzami – osoby dające się tak zaklasyfikować, same najczęściej nie są

skłonne tak się nazywać. W hipsterach można też usłyszeć jakieś ciche echo beatników – jednych i drugich cechuje indywidualizm, nonkonformizm, swoboda twórcza i eksperymentowanie z seksualnością. A przynajmniej tak jest w warstwie deklaratywnej. Krzysztof Varga parafrazując słowa Allena Ginsberga obnaża smutną prawdę o hipsterze: *zna wszystkich, których znać należy, sam nic nie tworzy, wie tylko to, o czym pisze się w modnych magazynach.*

Szafiarka na sky scraperze

Nie ma już hippisów, punków, skinów, metali i skejtów, są tylko eklektyczni hipsterzy-pozery, z laptopami Appla, w Raybanach zerówkach, pijący sojowe latte ze Starbucksa, jeżdżący na ostrym kole i strzygący brody w barber-shopach. Hipsterzy to w zasadzie post-subkultura, w której więcej wyrachowania i snobizmu, niż autentycznego przeżycia. Choć hipsterzy stylistycznie nawiązują do kampu i lubują się w kiczu, to brakuje im dystansu do samych siebie. W tych warunkach dążenie do odmienności, oryginalności przestaje być możliwe. Możliwe jest jedynie mnożenie kombinacji, które – trzeba to przyznać – daje czasem zaskakujące efekty. Ciekawym przykładem jest gwiazda Instagramu, Angela Nikolau, urodzona w 1993 r. rosyjska szafiarka i modelka,

której pasją jest wspinanie się na wieżowce, dźwigi i inne strzeliste konstrukcje. Angela zdobywa kolejne, coraz wyższe budynki na całym świecie po to, aby na ich dachach móc robić sobie zdjęcia (tzw. *selfie*) w kolejnych ekstrawaganckich stylizacjach (suknie, koturny, itd.). To abstrakcyjne połączenie sportu ekstremalnego z modą śledzi na jej profilu ponad 425 tysięcy osób.

W niektórych kręgach pojawiają się pierwsze symptomy zmęczenia tym wielkomiejskim uniformizmem. Szczególnie u osób między 30 a 40 rokiem życia wyczuwam tęsknotę za epoką, w której wygląd był odbiciem osobowości. Czy możliwy jest powrót do estetyki znikających dziś subkultur? Trudno powiedzieć. Zapewne wkrótce wykształcą się nowe, mocniej lub luźniej nawiązujące do tych, które opisałem powyżej. Gdyby spojrzeć przez mikroskop, to okaże się, że gdzieś w pobliżu są niewielkie grupki np. hippisów, którzy mają się świetnie – żyją w komunach, nadal sami szyją sobie ubrania, jeżdżą na Rainbow. Na Piotrkowskiej w Łodzi widziałem niedawno trzech młodych punkowców. Wyglądali jakby wehikuł czasu przeniósł ich przed momentem wprost z Jarocina w latach 80. XX w. Być może za jakiś czas wyraźnie zarysowane subkultury znów staną się modne. Tylko czy z modą znów pójdą w parze przekonania?

*Śródtytuły pochodzą od redakcji

Metalowcy, Szczecin, lata 80. XX w.



Fot. z archiwum autora

CIAŁO LUDZKIE TO MIEJSCE wyrażania siebie i manifestowania swojego „ja”. To także miejsce, które jest punktem wyjścia dla przyjemności i poprawy jakości życia (co podkreślał Fryderyk Nietzsche w „Woli Mocy”). Sposoby manifestowania swojej indywidualności czy przyjemności bywają bardzo różne, a jak uważa Michel Foucault w „Historii seksualności”: *przyjemność musi być czymś niewiarygodnie intensywnym, inaczej jest niczym*.

METAMORFOZY CIELESNOŚCI*

„Somatyczni” filozofowie (jak chociażby Orygenes) podkreślają, że przeżywane ciało, jest zdecydowanie bardziej wartościowe, niż ciało, które nie zostało poznane. Przeżywać ciało można na różne sposoby: wysiłek fizyczny, który sprawia, że w końcu zaczynamy czuć „somę”, albo metamorfozę, która odświeża nowe „ja”. W metamorfozie, którą chcę opisać, nie chodzi jednak o makijaż, który w każdej chwili można zmyć czy ubiór, który w każdej chwili można zmienić, ale o metamorfozę permanentną, o modyfikację ciała – tatuowanie i piercing.

W pierwotnym znaczeniu tatuaż oznaczał przynależność rytualną, formę inicjacji, nobilitował bądź piętnował. Piercing zaś był symbolem wysokiego statusu, bogactwa, męstwa bądź odwagi. Na przestrzeni dekad podejście do „body artu” zmieniało się, od aprobaty do całkowitej negacji. Od lat siedemdziesiątych XX w. ozdabianie ciała stało się formą sztuki, co więcej sztuki postrzeganej jako doświadczenie. Tatuowanie, kolczykowanie czy inne np. „chwilowe” ozdabianie ciała jak „play-piercing” to zjawiskowe metody, które umożliwiają przeżywanie ciała w dosłownym



Burleska wraca – w wielkim stylu!

Emmanuella Robak

i dwuwymiarowym tego słowa znaczeniu (rzeczywistym i estetycznym). Nakłuwanie, wprowadzanie tuszu pod skórę czy umieszczanie w niej kolczyków, jest specyficzną formą doświadczania swojego ciała. Warto jednak zaznaczyć, że to nie jest zabawa. Piercing

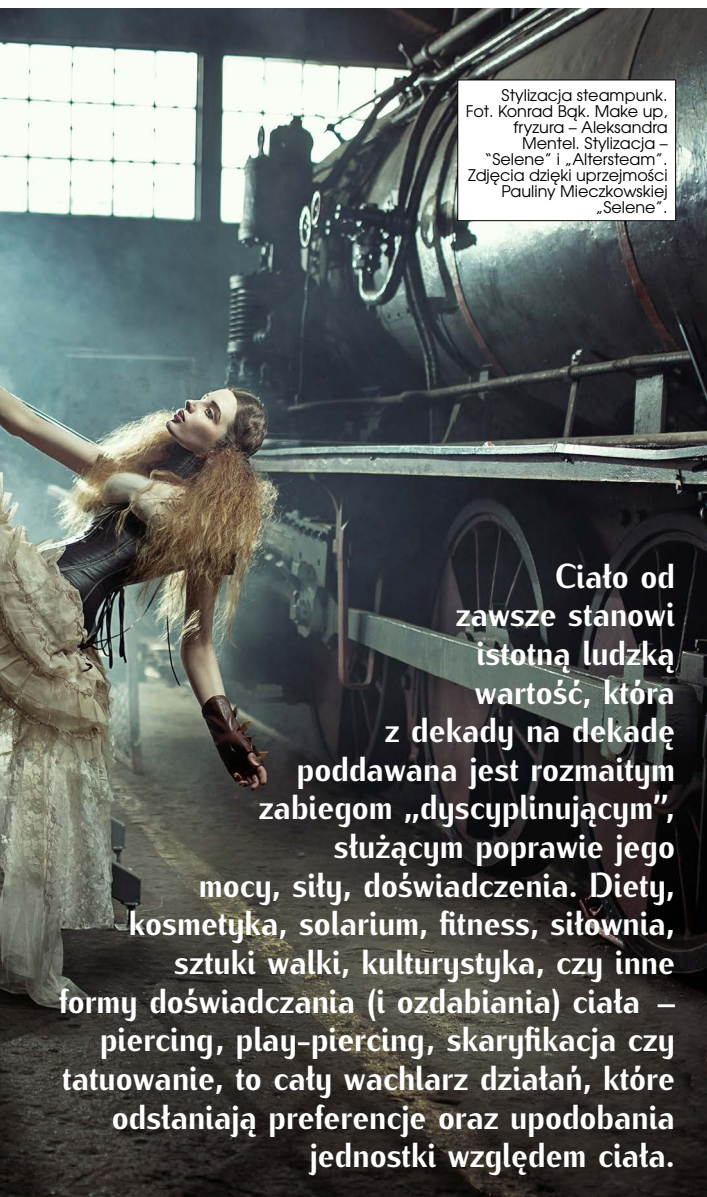


Wszelkie modyfikacje ciała, stanowią zarówno ciekawe doświadczenie, jak i estetyczny „paradygmat”.



i tatuowanie to wiedza z zakresu anatomii człowieka, wiedza odnośnie materiału, z którego korzysta body piercer czy tatuator, a w szczególności wiedza o sterylności i zachowaniu higieny. Wszelkie modyfikacje powinno robić się wyłącznie w sprawdzonych i profesjonalnych salonach tatuowania i kolczykowania. Warto





Stylizacja steampunk.
Fot. Konrad Bąk. Make up,
fryzura – Aleksandra
Mentel. Stylizacja –
„Selene” i „Altersteam”.
Zdjęcia dzięki uprzejmości
Pauliny Mieczkowskiej
„Selene”.

Ciało od zawsze stanowi istotną ludzką wartość, która z dekady na dekadę poddawana jest różnym zabiegom „dyscyplinującym”, służącym poprawie jego mocy, siły, doświadczenia. Diety, kosmetyka, solarium, fitness, siłownia, sztuki walki, kulturystyka, czy inne formy doświadczania (i ozdabiania) ciała – piercing, play-piercing, skaryfikacja czy tatuowanie, to cały wachlarz działań, które odślaniają preferencje oraz upodobania jednostki względem ciała.

też wziąć pod uwagę tolerancję bólu, bliznę po wyjęciu kolczyka, czy fakt, iż usuwanie tatuaży to dosyć kosztowny zabieg. I choć tatuaże i piercing stały się dzisiaj już tak bardzo popularne, że stanowią czasami codzienny element ubioru, decyzja o modyfikacji musi być całkowicie świadoma.

Modyfikacje ciała to jednak nie tylko doświadczenie rzeczywiste, ale i wspomniane już doświadczenie estetyczne. Wszelkie modyfikacje wizerunku doskonale nadają się do modelingu alternatywnego.

TO NIE JEST ŚWIAT KOLOROWYCH GAZETEK

Modeling alternatywny jest rzeczywistą drogą dla modelek i modeli, odbiegających swoim wyglądem od przyjętych standardów. To świat dla tych, którzy nie definiują siebie przez wizerunek narzucany przez kolorowe czasopisma czy reklamy. Modelki alternatywne mają kolczyki, tatuaże, rękawy, kolorowe włosy albo dredy, co doskonale nadaje się do stylizacji (odwołujących się najczęściej do tradycji francuskiego kabaretu

temat numeru

GLAMOUR

fin de siècle, niemieckiej burleski z lat 20., amerykańskich fotosów gwiazdek „złotej epoki” Hollywood lub fandomów SF): pin up, steampunk, gothic, punk, lolitka, victorian czy cyber. A zapotrzebowanie na tego typu sesje jest bardzo duże. Modeling alternatywny jest otwarty dla każdego, kto czuje pasję, ma pomysły, lubi wielowymiarowość, szuka inspiracji, by sam stać się inspiracją. W agencji alternatywnej nie liczy się wzrost czy waga. Liczy się kreatywność i ciekawy wizerunek.

Tego typu modeling jest ogromnie popularny za granicą. Bettie Mae Page, Dita Von Teese (znana z artystycznie prowokacyjnych nawiązań do burleski z połowy ubiegłego wieku) czy Zombie Boy – to tylko niektóre nazwiska, które przeniknęły do świata show-biznesu, do świata kultury masowej z niszowej awangardy. W Polsce modeling alternatywny dopiero zaczyna stawać się coraz bardziej popularną formą wyrażania siebie. Moda niszowa w naszym kraju promowana jest przy okazji różnego rodzaju eventów. Jednym z nich jest Alternative Fashion Show organizowane w Toruniu. Celem pokazu jest prezentacja umiejętności twórców alternatywnych, promowanie polskich talentów ale również stworzenie płaszczyzny współpracy dla projektantów, twórców biżuterii, modelek, modeli, fotografów itp. I choć ta strefa modelingu w naszym kraju wciąż nie może liczyć na

duże zlecenia (modelki alternatywne biorą głównie udział w sesjach promujących sklepy odzieżowe), to z dnia na dzień ten świat mody zaczyna coraz bardziej otwierać się na nowych odbiorców i klientów.

KAMELEON Z SIN CITY

Bardzo dobrym przykładem promowania alternatywy jest Paulina Mieczkowska („Selene”). Sama jest modelką alternatywną, choć jej



Tatuaże i latex
Fot. VmpSelene.
Strój - Alternative Off Fashion Store



Stylizacja wiktoriańska
Fot. Adam Głuch.
Modelka: Selene

wizerunek na pozór odbiega od przyjętych wytycznych modelingu alternatywnego. Ta kobieta kameleon i „mistrzyni metamorfoz” to także fotograf i redaktorka portalu „Toxic Girls”, który stanowi bazę modelek alternatywnych. „Selene” organizuje sesje modowe, sesje glamour i fashion, które doskonale nadają się do portfolio; zajmuje się stylizacją i projektuje alternatywną modę. Była także jurorką Fashion TV Model Search 2017.

Paulina Mieczkowska wraz z Pawłem Tumitowiczem prowadzą „Alternative Off Fashion Store”, który

oferuje całą gamę lateksowych strojów. Ta dwójka artystów próbuje odczarować lateks, który bardzo często kojarzy się wyłącznie z erotyką. Jak się okazuje – materiał ten doskonale nadaje się do różnych stylizacji (nie tylko alternatywnych, a wykorzystany w realizacji filmowych tworzy niesamowity, ironiczny klimat – chociażby w obrazach Tarantino czy Roberta Rodriguez). Lateksowe dodatki zaprojektowane przez Pawła Tumitowicza stały się dopełnieniem kolekcji Ewy Minge, która zaprezentowała ją podczas Fashion Week Poland 2016. Projekty „Alternative Off Fashion Store” ukazały się w kilku numerach magazynu „Make-up trendy”, a z oferty sklepu korzystają także polscy celebryci – Margaret, Cleo czy Wodzianka z programu „Kuba Wojewódzki”.

Małymi kroczkami tatuaże, kolczyki czy alternatywna moda stają się coraz bardziej popularne w naszym kraju. Alternatywa to od zawsze chęć wyróżnienia się z tłumu, podkreślenia własnej indywidualności, a wszelkie modyfikacje ciała, stanowią zarówno ciekawe doświadczenie, jak i estetyczny „paradygmat”. Interesując się światem modowym, warto znać wszystkie jego oblicza. ■

*Śródtytuły pochodzą od redakcji

Stylizacja gotycka
Fot. Filip Wyporski
Modelka: Selene

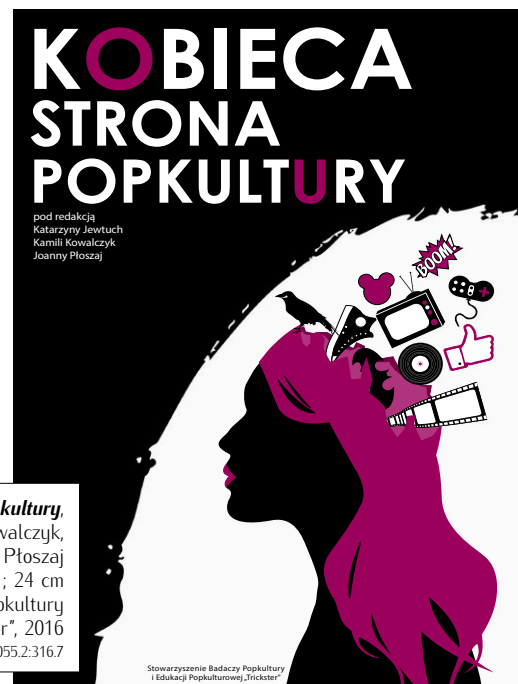


Aleksandra Sutowicz Damy pop-artu

Silne, charyzmatyczne, seksowne i wyjątkowe takie są bohaterki monografii naukowej „Kobieca strona popkultury” wydanej przez Stowarzyszenie Badaczy Popkultury i Edukacji Popkulturowej „Trickster”. Ta książka to zbiór artykułów, w których autorzy poddają analizie popularne postaci żeńskie występujące w literaturze, serialach, grach video i innych wytworach kultury masowej.

♀
Jest lalka Barbie i żeńskie postaci z serialu „07 zgłoś się”.
♀

Kobieca strona popkultury,
pod redakcją Katarzyny Jęwtuch, Kamili Kowalczyk,
Joanny Płoszaj
226 s. ; 24 cm
Wrocław : Stowarzyszenie Badaczy Popkultury
i Edukacji Popkulturowej „Trickster”, 2016
316.346.2-055.2:316.7



ORYGINALNOŚĆ TEJ MONOGRAFII z pewnością tkwi w doborze omawianych postaci, wśród, których znalazły się te mniej i bardziej popularne kobiety występujące w popkulturze. Mamy, zatem Lady Gagę i nieznaną dotąd kobietę z różnych zakątków świata, którym popularność przynosi cykl reportaży podróżniczych Martyny Wojciechowskiej. Jest lalka Barbie i żeńskie postaci z serialu „07 zgłoś się”. Monografia pokazuje jak zmienia się postrzeganie kobiecości na przestrzeni kilkudziesięciu lat. Żeńskie bohaterki gier video czy reklam wraz z przemianami społecznymi zyskują nowe atrybuty (lalka Barbie w wydaniu kandydatki na prezydenta, astronautki), nabierają męskich cech charakteru (bohaterka książki „Igrzyska śmierci” poluje, jest głową rodziny).

Niemal w każdym z opublikowanych artykułów omawiana jest kobieca seksualność. O kobiecych kształtach dyskutują użytkownicy forum o grze z Larą Croft w roli głównej. Wypuszczenie lalki Barbie w 1959 r. na rynek nie obyło się bez negatywnych komentarzy o nienaturalnej figurze popularnej zabawki, a sama Barbie stała się synonimem pustej, wiecznie uśmiechniętej, przez co nieautentycznej dziewczyny. Autor artykułu o najstojniejszej zabawce świata stara się odtworzyć tożsamość Barbie na podstawie budowanej przez producentów historii lalki.

Duży wpływ na polską popkulturę jak się okazuje ma twórczość Sylwii Plath. Prześledzenie polskich stron internetowych, blogosfery i forów pozwoliło postawić tezę, iż poezja Plath przechodzi swego rodzaju renesans. Okazuje się, że amerykańska poetka znalazła swoich

wiernych wielbicieli nad Wisłą, dla których jej utwory stały się swego rodzaju manifestem emocjonalnym.

Do ważnych i ciekawych artykułów zaliczyć można te, które powstały na podstawie cyklu reportaży Martyny Wojciechowskiej „Kobieta na krańcu świata” oraz poddające analizie fenomen dwóch artystek: Madonny i Lady Gagi. Autorzy odwołują się w nich do przykładów znanych z telewizji, radia i Internetu. Kobiety, które swoim zachowaniem wywołują skandale, błyszczą w świetle fleszy oraz te, które żyją w odległych zakątkach globu, bez rozgłosu, udowadniają, że można być bohaterką dnia codziennego, bez błyskotek i operacji plastycznych.

Cała monografia kończy się tekstami, które stanowią pewne podsumowanie wizerunku kobiet i kobiecości na przestrzeni ostatnich kilkudziesięciu lat. Z pewnością atutem dzieła jest różnorodność dobranych bohaterek. Analizie poddane zostały postaci fikcyjne, żyjące tylko w świecie literatury lub grach video, oraz kobiety (Sylvia Plath, Madonna), które stały się swego rodzaju ikonami kultury masowej. Autorzy prezentują kobietę twarz kultury masowej. Nie szufladkują popkultury, a dzięki wnikliwym analizom pozwalają dostrzec w niej coś więcej niż tylko perwersyjne ciało na okładce tabloidu.

Większość artykułów prezentuje męską perspektywę postrzegania kobiet w sferze kultury popularnej. Stąd zapewne prawie w każdym z nich pojawia się kategoria seksualności. Z pewnością ciekawie będzie zestawień monografie „Kobieca strona popkultury” z jej męskim odpowiednikiem. Czekam, zatem na kolejne analizy i zestawienia, być może tym razem bohaterami będą James Bond i Obi-Wan Kenobi. 📖

Boks i mordereca

Patrycja Ogłaza

Prawie jubileuszowa – dziewiąta – edycja projektu „Podróż – kierunek Teatr” przywołała w mury Domu Kultury „Zameczek” duchy, a nawet demony minionego czasu.

Na scenie i na ringu, nigdy nie wolno pokazać po sobie, jaki będzie kolejny cios.



W WARSZTATACH AKTORSKICH uczestniczyli uczniowie z Gimnazjum nr 10 im. I Dywizji Pancernej oraz z Liceum Ogólnokształcącego im. Stefana Żeromskiego w Kielcach. Zgodnie z zapowiedzią, prowadzący zajęcia teatrolog Bartłomiej Miernik oraz reżyser Tomasz Węgorzewski, wybrali się ze swoimi zespołami

w odmienne podróże: w stronę teatru dokumentalnego oraz w przeciwnym kierunku, ku teatrowi poszukującemu. Warsztaty – jak co roku – zakończył pokaz przygotowanych spektakli oraz dyskusja, tym razem poprowadzona przez Justynę Czarnotą z Instytutu Teatralnego im. Zbigniewa Raszewskiego.

Grupa Miernika podczas swojego występu „Mistrzowie boksu” przywołała pamięć o kieleckich pięściarzach z klubu Błękitni Kielce święcących triumfy w latach 60. i 70. XX w. Gimnazjaliści w krótkich, nieraz komicznych scenkach rodzajowych, przeplatanych czytaniem fragmentów biografii, przybliżyli zgromadzonemu sylwetki legendarnych bokserów m.in. Leszka Drogosza, Witolda Stachurskiego, Sławomira Zapart, Stanisława Łakomca i Andrzeja Stawskiego. W klimat sportowej rywalizacji wprowadziła widzów choreografia Marty Rolskiej (Kielecki Teatr Tańca), inspirowana elementami bokserskiej walki. Nieprzypadkowo na pokaz pracy grupy przybyli: A. Stawski, Sławomir Zapart, Grzegorz Nowaczek, Daniel Adamiec (przedstawiciel młodszej generacji



Fot. Marcin Michalski

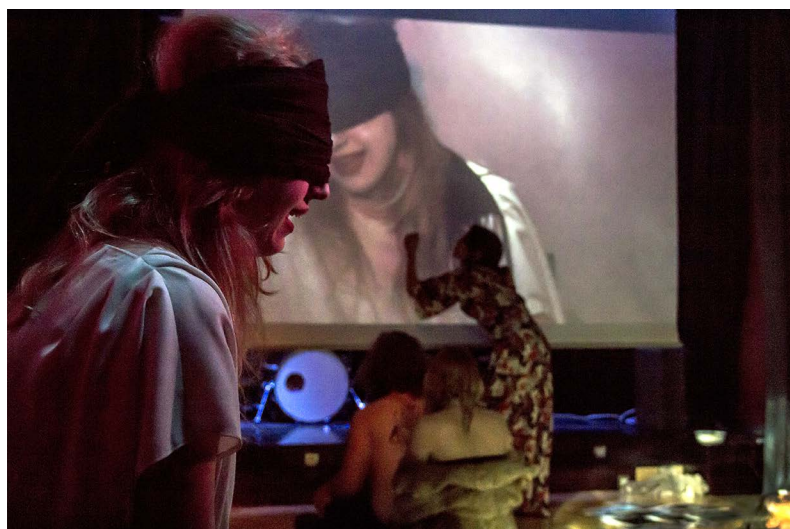
Fot. Marcin Michalski

pięściarzy i jednocześnie absolwent Gimnazjum nr 10 w Kielcach). Przyznali, że spektakl wzbudził nostalgię, ale i poczucie winy, namysł nad tym jak słaba jest promocja amatorskiego boksu wśród młodych ludzi. Trzeba podkreślić, że gimnazjaliści początkowo nie byli przekonani do pomysłu spektaklu o boksie, który kojarzył im się przede wszystkim z brutalną siłą. Dopiero wizyta w bokserkim klubie Rush i trening z Andrzejem Stawskim, zbieranie na własną rękę dokumentalnego materiału oraz wspólna praca nad formą i treścią przedstawienia wpłynęły na zmianę ich podejścia. Miernik dał młodzieży dużo swobody, jednym z warunków prowadzenia warsztatów była dla niego dobra zabawa uczestników. Zaproszeni goście podkreślali jak wiele wspólnego ma boks z aktorstwem. Na scenie i na ringu, nigdy nie wolno pokazać po sobie, jaki będzie kolejny cios.



roli żartobliwie ocenił, że o wyborze jego osoby do roli mordercy zadecydował spokój w obejściu i „zwierzęcość” w wyglądzie. Jedną z aktorek, Małgorzata Rapcia po pierwszym zetknięciu z dramatem Koltèsa twierdziła, że w tekst „nie da się włożyć żadnej emocji”. Dlatego reżyser przydzielił jej zadanie „rozbicia” przedstawienia i „wykpienia” jego teatralności. Węgorzewski pełnił wobec młodych aktorów rolę przewodnika. Wybór tekstu francuskiego dramaturga został poddyktowany znajomością psychiki młodych ludzi, dla których postać, wychodzącego poza obowiązujące normy, Zucco jest jednocześnie przerażająca i intrygująca. Roberto, co dało się odczuć podczas spektaklu, nabiera cech mitycznego bohatera, który podważa moralność współczesnego społeczeństwa. Według odtwórczyni roli matki Zucco, Klary Pikus, w każdym z nas tkwią nie wyrażone emocje, domagające się ekspresji. dopełnieniem spektaklu była transowa muzyka skomponowana w trakcie prób. Grupa Węgorzewskiego zburzyła stereotyp mordercy: Roberto Zucco nie jest agresywny, ma cały czas niezmienny, beznamiętny wyraz twarzy. Spektakl niepokoi i pozostaje w pamięci.

Najlepsze podsumowanie IX „Podróży – kierunku Teatr” zrodziło się podczas dyskusji po spektaklu „Roberto Zucco” – teatr amatorski to kwintesencja teatru, bo aktor daje w nim całego siebie, a w profesjonalnym często wykonuje już tylko swój zawód. ■



Roberto Zucco to bohater występu przygotowanego przez grupę Tomasza Węgorzewskiego. Pokaz zakończył się owacjami na stojąco. Imponujący profesjonalizm aktorskiej gry, zwycięskie zmagania z nietatnym tekstem Bernarda Marie Koltèsa, oczyszczający rytuał na scenie – te określenia trafnie opisują efekty pracy „żeromszczaków”. Tytułowy bohater dramatu Koltèsa jest autentyczną postacią matkobójcy i ojcobójcy, który żył pod koniec lat 80. we Włoszech. Odtwórca głównej

Sarmata przepoławiony albo Różewicz x N

Paweł Chmielewski

Rozgrywany, od dwudziestu
pięciu lat – za każdym
razem na nowo – monodram
Janusza Stolarskiego
„Ecce Homo”, według
Fryderyka Nietzschego
(tu w przekładzie
Leopolda Staffa)
rozpoczyna się od słów:
*Przewidując, że wkrótce
stanę przed ludzkością
z najtrudniejszym, jakie jej
kiedykolwiek postawiono
wymaganiem, zda mi się
niezbędnym rzec: kim
jestem? W gruncie winno
było by się to wiedzieć...*

POZNAŃSKI AKTOR WRACA do Kielc po jedenastu latach (monodram prezentował w 2004 i 2005 r.). Po pięciu – z monodramem „Satana” według Tomasza Manna – jako aktor, nie reżyser (nie licząc ubiegłorocznego warsztatu witkiewiczowskiego) przyjeżdża Marcin Bortkiewicz. Historia zatoczyła kółko. Teatr Ecce Homo obchodzi 20-lecie, a Przegląd Teatrów Alternatywnych szesnastą edycję. Na zakończenie festiwalu – na scenie w Bazie Zbożowej – widzowie oglądają premierę EH – „Nieskończony zbiór wszystkich innych” („Źródło”) w reżyserii Aleksandry Gronowskiej. Jak bohater powieści Italo Calvino (nieszczęsny wicehrabia), przegląd to były dwa oblicza teatru, dwie ścieżki proponowane – rok po roku – odbiorcom przez Teatr Ecce Homo.

Czterodniowy festiwal poprzedziła retrospektywa „Dwadzieścia spektakli na dwudziestolecie” – prezentacja najciekawszych, spośród czterdziestu trzech premier Ecce Homo (uzupełniona o wystawę fotografii Wojciecha Habdasa i Marcina Michalskiego, dokumentującą działalność zespołu). Każdy z zaproszonych w tym roku wykonawców – Wioleta Komar, Janusz Stolarski, Wojciech Kowalski, Terminus A Quo, Teatr Fie-ter, Chojnickie Studio Rapsodyczne, Teatr Krzyk, Kompania Teatralna Mamro, Teatr Pijana Sypialnia, Marcin Bortkiewicz – wystawiając spektakle cztero-, pięciokrotnie, kształtował obraz przeglądu, niekomercyjną, alternatywną wizję sztuki. Dwudziestka przedstawień Teatru Ecce Homo – od „Wszystko jest krwią” do „Vattene!” pokazuje, w jakiej

fazie przepoczwarczania jest zespół. Po ostatniej premierze „starego rytu” – „Łagodnej” (2013) weszliśmy w fazę eksperymentalną. Takim eksperymentem był ubiegłoroczny „Wieczór ekscentryczny” („Projektor” 6/2015), jego kontynuacją, w pewnym stopniu, „Nieskończony zbiór...”. To test dla młodszych aktorów, budowanie – poprzez melorecytacje tekstów multikulturowych – nowego wizerunku, tym razem – dzięki zabiegom reżyserskim Aleksandry Gronowskiej – mające charakter obrzędów szamańskich. Z poczwarki wyklują się skrzęcy kolorem motyl lub złowieszczą, mroczna

ćma. Pozostając w transhumanistycznym modelu językowym naszych czasów, stwierdziłbym – jasna lub ciemna strona mocy. Tu znów pojawia się nam Italo Calvino i jego bohater przepoławiony. Paradoksalnie... czy mroczna ćma byłaby rozwiązaniem gorszym? Jak mawiał jeden z aktorów filmu Jonathana Demme, jest w niej piękno. Ten mroczny, nawet drastyczny, wizerunek teatru byłby powrotem do najciekawszych dokonań – rozpiętych między „Personą” i „Grosse aktion” a „Łagodną”. „Źródło” („Nieskończony...”) traktuję w tym sensie metaforycznie. Jako – tu pewnie cieszyłby się z tej parafrazy John Fitzgerald Kennedy – odpowiedź każdego z aktorów na propozycję i samoświadomość, że nie jest istotne, co teatr daje tobie, ale co ty możesz dać teatrowi.

Jasna strona

Zaczynam od zastrzeżenia – niekoniecznie to, co jasne nie może stać się tym, co ciemne, a zło okazać się dobrem. Nic nie jest takim, jakim się nam wydaje. Jak w tytule powieści Calvino, odwołując się do dualizmu natury człowieka. Do przeżywającego renesans – za sprawą Hollywood – „Sobowtóra” Dostojewskiego, a twórców seriali – literatury gotyckiej. W tym przeglądzie było coś z doktora Jekylla i pana Hyde’a. Spektakle jawnie artystowskie i spektakle komentujące polityczną, ideową kondycję Polaka (lub mieszkańca naszej planety). Spróbujmy spojrzeć w ten sposób na propozycję, dość konsekwentnie realizowaną przez organizatora. Spojrzyć, pamiętając, że



Wojciech Kowalski – monodram „3xRuchnik”

każdy prosty podział zerojedynkowy jest uproszczeniem, a granice bywają nieostre.

Janusz Stolarski w swym monodramie – będącym jednym z przykładów postawy artystowskiej, obok monologu Bortkiewicza, któremu poświęciłem obszerniejsze studium w jednej z wcześniejszych relacji – otóż Stolarski, eksplorując ostatnią, autobiograficzną książkę Nietzschego, bierze – często megalomańskie i prowokacyjne – poglądy filozofa w ironiczny nawias. Kostiumem, przywołującym kaftan bezpieczeństwa, stawia się w sytuacji szaleńca, lecz nie tego bożego głupca, jurodiwego z rosyjskich powiastek. To mędrzec grający rolę błazna. Składający sprawozdanie

**Z poczwarki wykluwa
się skrzący kolorem
motyl lub złowieszcza,
mroczna ćma.**

dokonał dookreślonym poprzez przestrzeń galerii handlowej. Ten spektakl bez słów – wedle słów reżysera nawiązujący do „teatru ubogiego” Jerzego Grzegorzewskiego – mnie raczej

nakierował ku marionetce Gordona Craig’a. Ku aktorowi lalce, reagującemu tylko na dźwięk gwizdka. Było w tym misterium coś z fizjologii, coś z drastycznego obnażenia reakcji psów Pawłowa, jakimi stajemy się – mimowolnie – w zderzeniu z mechaniką reklamy, korporacji handlowych i świetlistych wystaw.

Czy interpretacje Szlangi i Kościółka ostatniej z cnót teologicznych (obok wiary i nadziei), to na pewno obraz tkwiący po jasnej stronie mocy?

„To face” zespołu z Maszewa przypomniło mi, głośną kilkanaście lat temu, „Piaskownicę” Michała Walczaka (w świetnej, chociaż już zapomnianej realizacji, bodaj z Agnieszką Grochowską). Ten sam taniec godowy kobiety i mężczyzny – u Walczaka dość niewinny, ukryty za nastoletnią zasłoną i popkulturą, u Kościółka drapieżny, przypominający zaloty pewnego gatunku pajaka, który rani, gryzie, kłuje. Poza – dość czytelną i pesymistyczną konkluzją, że nie ma związków szczęśliwych – spektakl redefiniuje stereotyp ptcy, roli spotecznej, prezentując charakterystyczny dla reżysera styl oparty na ekspresji dźwiękowej, wybijanym (wygrywanym rytmie), zapożyczeniach z estetyki cyrkowej. Jest jednak przede wszystkim dyskursem – pewnie ku rozpacz niektórych (jeśli środowiska tradycjonalistów interesują się teatrem niezależnym, w co poważnie wątpię) – genderowym. Eksplorowanym

Fot. Wojciech Habdas



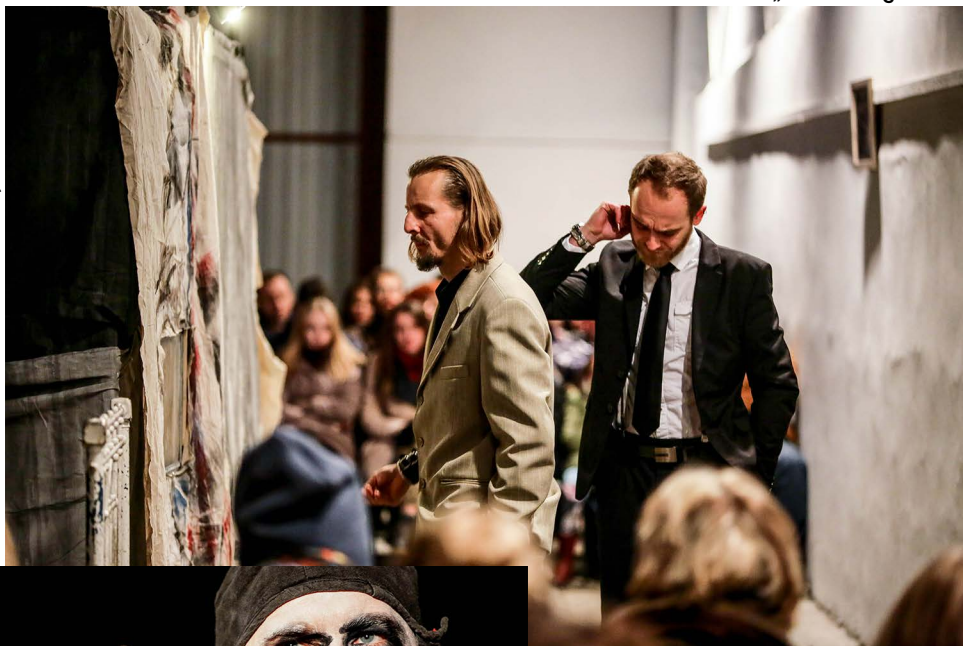
Teatr Terminus a Quo – „Go!”

z życia. Aktor, podróżujący ze skrzynią, aktor wędrowny, bliższy średniowiecznemu pojmowaniu zawodu. Stolarski jest artystowski – w dobrym tego słowa znaczeniu – lecz, gdy ze sceny padają paralele między dionizyjską a chrześcijańską wizją świata, zaczynam się zastanawiać czy spowiedź Nietzschego nie staje się bieżącym komentarzem.

Po stronie jasnej umieszczam spektakle o uczuciu, tym co czyni nas lepszymi, miłosne epifanie „Romeo i...” Grzegorza Szlangi (Chojnickie Studio Rapsodyczne), „To face” Marka Kościółka (Teatr Krzyk) i cybernetyczny spektakl o pożądaniu gadżetów „Go!” Edwarda Gramonta (Terminus A Quo), zrywający najbardziej radykalnie z dyktatem trzech jedności, rozegrany poza konkretnym czasem (bo współczesność jest tu pojęciem umownym), poza geograficznym miejscem, lecz będący przedstawieniem



„Noc Listopadowa”



Marcin Bortkiewicz – „Sataną”

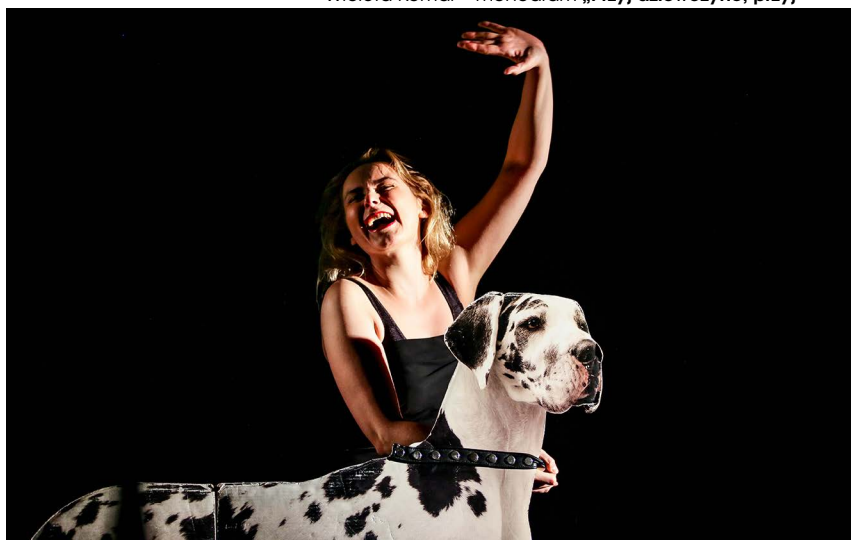
nie tylko poprzez ubiór, jego zmianę, ale również gest i język. Symboliczne jest tu rozejście się pary bohaterów w finale w przeciwległe strony sceny. Propozycja Teatru Krzyk koresponduje z recenzją książki „Dogmat płci” (por. str. 27) oraz wystawą Marty Pabian „Liniobieg”, prezentowaną równolegle z przeglądem, a podważającą umowną, kulturową rolę ubioru („Projektor” 6/2016). No tak, *lecz czymżesz jest jedno bez drugiego?* Niczym – mogłaby zakrzyknąć każda z postaci szekspirowskich – ale zagrać tylko pół najstynniejszego miłosnego duetu w dziejach literatury? „Romeo i...” Chojnickiego Studia Rapsodycznego to monodram oparty na tragedii stratfordczyka. Sztuka o poszukiwaniu Julii, bez Julii. Romeo Montecchi w nieustannym monologu – rzadko przerywanym przez reżysera – musi sobie wciąż odpowiadać na pytanie czego pragnie. Czy kochanki z Werony? Czy ślubu? Czy Julii? Definiuje sam siebie wciąż od nowa. Tekst szekspirowski, lecz więcej w nim przemysłu niż emocji oryginału. Przypomina bardziej Racine’a z eseju Jana Kotta niż autora „Hamleta”. Wielki krytyk uczucia szekspirowskie przyrównywał do błyskawicy, francuskie tragedie do rozwleczonego na pięć aktów retorycznego popisu.

Ciemna strona

Performance Pijanej Sypialni, wariacja na temat „Latarnika”, rozgrywająca się często w scenerii i kostiumie jakby z reklamowego teledysku, z elementami reality show, programów w konwencji Rai Uno, itd. (miałem przy tym nieuchronne skojarzenie ze wstawkami cyrkowo-kabaretowymi z różewiczowskiego „Spaghetti i miecze”) jest ironicznym komentarzem do prób szukania w Sienkiewiczze współczesności, żartem w stylu nieodżałowanego (przez Stanisława Tyma i wielu, wielu innych) kabaretu Potem. Motyw ucieczki, przypominający chociażby „Wybrzeże Moskitów” Theroux, zostaje przykryty – zakładam, że całkiem świadomie – aktualną aluzją polityczną o kocie-faraonie dzierżącym władzę w Egipcie. Takie również materii pomieszanie – ciemnej materii

pomieszanie – stało się tkanką monodramu Wiolety Komar „Przyj dziewczyno, przyj” (reż. Stanisław Miedziewski), opartego na poemacie Tadeusza Różewicza. Charakterystyczne dla pisarza łączenie wysokiego z niskim (cokolwiek by to jeszcze dziś znaczyło) – upraszczając kulturę wyrafinowaną z kulturą pop – pozwala szkicować obraz współczesności. Jakiej? Postmodernistycznej? Post-, postów? Transhumanizmu? Odsączając dowcipy i aluzje do bieżącej polityki – zdaje się, że konieczne, aby widza, przyzwyczajonego do telewizyjno-kabaretowo-farsowego melanżu (koniecznie ze stripteasem), zatrzymać w teatrze. Odcedzając tę akurat tkankę, otrzymujemy gorzki tekst, spowiedź osoby przezroczystej, nieważnej, bezbarwnej, nieistotnej dla otoczenia. Jej rola w teatrze, jest – brutalnie uprzedmiotowiając – rolą dla otoczenia równie znaczącą jak rola kurtyny, wieszaka, nieśmiertelnego (tak się dawniej mówiło) strażnika z halabardą. Aktorka doskonale wygrywa ten katalog kompleksów, marzeń, kreując żeńskie odbicie „Garderbianego” z dramatu Harwooda. Czy podobnie metaforycznym komentarzem do ludzkiej kondycji nie była „Samoobstuga” Teatru Fieter? W utworze Harolda Pintera, operującym przede wszystkim nastrojem, poczuciem ukrytego, nieuchronnego zagrożenia, charakterystycznym chwytem dla nurtu teatru absurdu, poczynawszy od Becketta, a poszukując głębiej nawet od Maeterlincka, w tej prostej historii o dwóch płatnych zabójcach oczekujących na kolejne zlecenie, zaczyna się odbijać niepokój nasz codzienny. Interpretacje jednoaktówek noblisty możemy mnożyć. Od racjonalnych – o egzystencjalnym

Wioleta Komar – monodram „Przyj dziewczyno, przyj”



Teatr Ecce Homo – „Nieskończony zbiór wszystkich innych” („Źródło”), premiera



strachu, do absurdalnych – tu odwołam się do pierwszych omówień „Waiting for a Godot” Becketta – jako oczekiwaniu na np. gwarantowany przydział pięciuset litrów wody morskiej dla każdego z polskich obywateli. Ten nastrój niepokoju – dość niezależnie od organizatorów – wzmocniła pogoda. „Samoobstuga” odegrana została w nieogrzewanej hali, w temperaturze bliskiej zera.

Zjawiskiem osobnym, lecz wciąż obecnym w kręgu „przeklętych, polskich tematów” stał się kilkunastominutowy fragment z I aktu „Nocy listopadowej” Stanisława Wyspiańskiego. W roli księcia Konstantego, jednorazowo – po czterdziestu latach od premiery spektaklu Andrzeja Wajdy – wystąpił Jan Nowicki.

I jeszcze spécialité de la maison czyli „3xRudnicki” Wojciecha Kowalskiego.

Monodram stworzony z fragmentów trzech powieści Janusza Rudnickiego – potwierdzając tezę, że z oddali lepiej widać (autor od połowy lat 80. mieszka w Niemczech) – to nie tylko bardzo pojemny katalog literackich chwytów, wychodzących od rekwizytu podstawowego, jakim na scenie jest tóżko. Mebel przywołujący „Obłomowa” Gonczarowa, przez „Wspólny pokój” Uniłowskiego do różewiczowskiej kartoteki. Trzeci, czwarty raz wyłania się z teatralnej magmy



Teatr Pijana Sypialnia – „Latarnik”

autor „Do piachu?”. To najbardziej wnikliwy komentator współczesności. W tym groteskowym monologu Kowalskiego-Rudnickiego powracają mity „założycielskie”: mesjanizm, Grunwald, Powstanie Warszawskie, narodowa karuzela z ziemniakiem – tym pięknym symbolem polskości, którego nie rozumiemy „straszni” Turcy, sprzedający w sklepach na niemieckiej ziemi pulpę startą, a nie narodowe, zwykłe, przepolsko-smaczne warzywo. Bohater kończy wystawiając głowę (głęboką, bo nie twarz) przez wyciętą w ramie tóżka owalną dziurę. Nie wiemy czy jest jak wawelska płaskorzeźba, czy podglądacz przez otwór w „stawojce”. Stał się jednym i drugim, pokracznie pomalowanym w narodowe barwy (jak w finale „wyklętego” filmu „Obywatel” Jerzego Stuha). Jest megalomański, heroiczny, zakompleksiony i nijaki. I pragnie wciąż – nie Graala, Eldorado, złotej rybki, rogu, anielskich trąb – zwykłego pragnie kartofla.

Chojnickie Studio Rapsodyczne – „Romeo i...”



Fot. Wojciech Habadas

Transakcja odrzucona

Agnieszka Kozłowska-Piasta

Czy nam się to opłaca? Czy nas na to stać? – pytamy coraz częściej decydując się na jakąkolwiek zmianę. Przeliczanie, bilansowanie zysków i strat coraz częściej zajmuje miejsce prawdziwych emocji, dążeń, marzeń czy uczuć. Zamiast „odwzajemniać”, przeprowadzamy transakcje, czy zawieramy układy, zamiatając to, co najbardziej ludzkie, czyli uczucia, pod dywan lub w najgłębszy kąt świadomości. „Zachodnie wybrzeże” Bernarda Marii Koltèsa w reżyserii Kubę Kowalskiego z Teatru im. Stefana Żeromskiego obnaża tę naszą współczesność, pozbawioną zrozumienia, dialogu, pełną obcości i wrogości.

To KOLEJNA INSCENIZACJA dramatu francuskiego pisarza na deskach kieleckiej sceny. Słynna, wielokrotnie nagradzana „Samotność pól bawełnianych” w reżyserii Radosława Rychcika, mimo że spektakl powstał dobre siedem lat temu, nadal rozpala emocje widzów. Kuba Kowalski zdecydował się na zupełnie inny sposób opowieści. Zamiast energetycznej piguły, pełnej rozedrganych emocji, zafundował widzom momentami nużący, momentami groteskowy, momentami

Gadżety bogatych nic nie znaczą w świecie wykluczonych i zapomnianych.

hipnotyczny seans spirytystyczny, pełen ludzi-duchów. Wszyscy błąkają się po ziemi niczyjej, jak mantrę powtarzając tylko to, czego chcą od innych, bo jest dla nich najbardziej korzystne.

Ta ziemia niczyja to hangar, opuszczona przez Boga przestrzeń – księżycowy krajobraz – śmietnik, urwisko, czy krater, trochę „pachnące” teatralną sztucznością. Scenografia autorstwa Agaty Skwarczyńskiej doskonale wpisuje się w akcję – podkreślając nienaturalność rzeczywistości, sztuczność relacji międzyludzkich, emocjonalną pustkę czy tandetę, wyglądającą praktycznie z każdej postaci „Zachodniego wybrzeża”.

Otóż wyposażony w złote spinki, karty kredytowe i luksusowy samochód bogacz (Jacek Mąka) trafia wraz ze swoją asystentką (Beata Pszeniczna) na teren zajmowany przez nielegalnych imigrantów. Chce od nich tylko jednego: swojej śmierci, bo sam nie ma odwagi targnąć się na życie. Okazuje się, że nie ma im czym zapłacić – gadżety bogatych nic nie znaczą w świecie wykluczonych i zapomnianych. Jedynie żywa gotówka ma jakąś wartość. Tylko ona gwarantuje szansę na wyrwanie się z ziemi niczyjej. Transakcja nie jest więc możliwa, bo nie ma waluty. Nie ma też dialogu. Każdy mówi jak nakręcony, wręcz zakrywając uszy na wypowiedzi innych. Każdy dąży tylko do własnej satysfakcji – po trupach do celu, nie ważne, czy to moi najbliżsi, czy wrogowie, nie ważne, kto stanie mi na drodze. Przecież ja chcę...



Fot. Wojciech Habdas



I właśnie przez tą zadaniowość i egoizm świat skompromitowanego bogacza nie różni się bardzo od świata imigrantów. Oba światy rządzą się tymi samymi prawami. I tam w city i tutaj w hangarze najważniejszy staje się układ, transakcja, interes, cel – nieważne, jakimi osiągnięty metodami. Można kłamać, oszukiwać, blefować, kraść, ściemniać, udawać, grać. Dlatego w tej sztucznej scenerii poruszają się nie ludzie, lecz sztuczne twory, maszyny, marionetki, wypowiadające swoje kwestie nie wobec siebie, ale po sobie, jak kiepskie recytacje nauczonych na pamięć tekstów.

Prawdziwy, a może jedynie intrygujący jest Abad (Piotr Stanek), „ciapaty”, niemy świadek prawie wszystkich prób transakcji, niezbrukany pustostowiem, egoizmem i całkowitym brakiem moralności, a jednocześnie wykorzystywany niemal przez wszystkich bohaterów... Trzeba przyznać, że uchodźczy świat nie naprawdę może przerazić. Jeśli chcesz odmienić swój los i zacząć żyć w innym świecie, musisz zapłacić wysoką cenę. Momentami diaboliczna, złośliwa, przebiegła,

wyprana z uczuć manipulantka Cecylia (w roli 60-latki doskonała Joanna Kasperek), jest tak naprawdę pozbawioną korzeni i oparcia, cierpiącą, zniszczoną staruszką. Jej prawie 30-letni syn Karol (Wojtek Niemczyk) w głębi duszy jeszcze ciągle ma nadzieję, że uda mu się rozpocząć nowe życie, choć szanse na to są naprawdę znikome. Jego młodsza siostra Klara (Anna Antoniewicz) doskonale wie, jak wiele może „ugrać” swoją młodością i udawaną niewinnością.

„Zachodnie wybrzeże” Kubu Kowalskiego może nudzić, denerwować sztucznością, teatralnością gestów czy wypowiedzianych kwestii. Może też intrygować kilkoma świetnymi kreacjami aktorskimi i ciekawą muzyką graną na żywo przez Radka Dudę, tworzącymi hipnotyczną, nierzeczywistą atmosferę ciągłych ludzkich transakcji. W końcu to zgodne z tym, co mówił Koltés: *Nie jestem pesymistą. Komercyjny model relacji międzyludzkich uważam za zgodny z rzeczywistością. (...) Nie lekceważę emocji; emocje istnieją nawet w handlu.*

Obraz nigdy nie kłamie

Piotr Kletowski

Nie było chyba równie „rozhisteryzowanego” NURT-u, jak zeszłoroczna 22, już edycja tej imprezy. Historia w zasadzie zdominowała program festiwalu, ukazując ogromne zainteresowanie polskich dokumentalistów bliższymi i dalszymi dziejami kraju, z akcentem położonym na czas wojny.

DLA MNIE NAJWAŻNIEJSZYM FILMEM był, z pewnością najbardziej wstrząsający, przy tym wywołujący kontrowersje obraz pokazany w czasie imprezy – „Ksiądz”, w reżyserii Marii Dłużewskiej. Obraz ten, ukazujący wizję lokalną mordu na księdzu Jerzym Popiełuszcze, zbudowany był z dwóch linii narracyjnych. Jedną tworzyły właśnie nagrania operacyjne realizowane przez milicję na potrzeby śledztwa, drugą relacja księdza Stanisława Małkowskiego – przyjaciela księdza Jerzego, podobnie jak kapelan „Solidarności” zaangażowanego w działalność opozycyjną w czasach PRL.

Ta pierwsza linia narracyjna ukazująca niby drobiazgowo śledztwo i przestęchiwanie morderców księdza Jerzego, unaocznia, w jaki sposób władza chciała zatuszować, zmylić, spartaczyć całe śledztwo, byle tylko prawda o mordzie na księdzu Jerzym nie wyszła na jaw. Ta partia filmu udowadnia starą prawdę, że „film nigdy nie kłamie”. Bo choć są to materiały zrealizowane przez SB-ecję i ich wykorzystanie przez reżyserkę może wzbudzać pytania o prawdziwe autorstwo filmu (przynajmniej tej jego części, która została sfilmowana przez oficerów organów ścigania), ich zawłaszczenie przez Dłużewską jest na tyle zasadne, bo ujawnia jak daleko posunięta była hipokryzja władzy ludowej, „mydlącej oczy” opinii publicznej przeprowadzając „śledztwo” w sprawie mordu na Popiełuszcze. Mamy źle stawiane pytania przez prokuraturę, pewność siebie morderców (zwłaszcza Piotrowskiego, który jak terminator zupełnie nie przejmując się tym wszystkim, co dzieje się wokół niego), mataczenia w zeznaniach kolejnych przestęchiwanych,

falszywe gesty i mylne tropy rzucane przez morderców. A w tym wszystkim jednak poniewierany, maltretowany i zabijany człowiek, którego trupa widzimy w najbardziej szokującej scenie filmu, kiedy jest dostownie rozwijany z zawiązanego tłumoczek na stole szpitalnym, w czasie przygotowywania ciała do sekcji zwłok. Scenę tę kończy zbliżenie na sutannę i płaszcz zabitego, pod potą którego błyszczą orzełek w koronie (poła płaszcza odwijana jest powoli przez pracownika kostnicy za pomocą plastikowego długopisu...).

Dłużewska „podbija” obrazy fragmentem „Requiem” Mozarta uzyskując przyszywający obraz męczeństwa księdza, który w swych kazaniach głosił przestanie papieża Jana Pawła II, by zło dobrem zwyciężać. Jednak równie ważna jest narracja księdza Małkowskiego, który po dziś dzień prowadzi swoje prywatne śledztwo w sprawie mordu na księdzu Popiełuszcze. To on niesie świadectwo zbrodni nieukaranej, powiązanej z zabójstwami innych bohaterskich duchownych zamordowanych w latach PRL-u i zaraz po 1989 r., w czasie, kiedy dawne siły przybierały demokratyczno-kapitalistyczne barwy.

Być może sama, urodzona zresztą w Kielcach, reżyserka kojarzona jest z filmami reprezentującymi przede wszystkim prawą stronę sceny politycznej (jest autorką serii filmów o katastrofie smoleńskiej), to „Ksiądz” jest z pewnością bardzo mocnym, wręcz natchnionym filmem ukazującym grozę czasów komunistycznej pogardy oraz wielkość kina, które nawet, jeśli jest robione by zadać kłam, odkrywa prawdę o rzeczywistości. Ale rzecz jasna cały festiwal nie jednym filmem stał, choć muszę przyznać, że projekcja „Księdza” (który ostatecznie nagrodzony został „Brązowym Nurtem”) należała do jednych z najbardziej traumatycznych, jakie doświadczyłem w czasie swego udziału w kieleckim festiwalu, a właściwie w jego piętnastu edycjach.

Główną nagrodę zdobył niezwykle (choć, rzecz ciekawa, mimo swej tematyki oraz mistrzowskiej realizacji odrzucony przez Krakowski Festiwal Filmowy) obraz „Dotknięcie Anioła” Marka Tomasza Pawłowskiego. Film, należący do podgatunku kreatywnego filmu dokumentalnego (niezwykła opowieść bohatera – syna ostatniego Przewodniczącego Gminy Żydowskiej w Oświęcimiu – Henryka Schoenkera – została „zrekreowana” za pomocą aktorów). Oglądając film Pawłowskiego, aż trudno uwierzyć, co

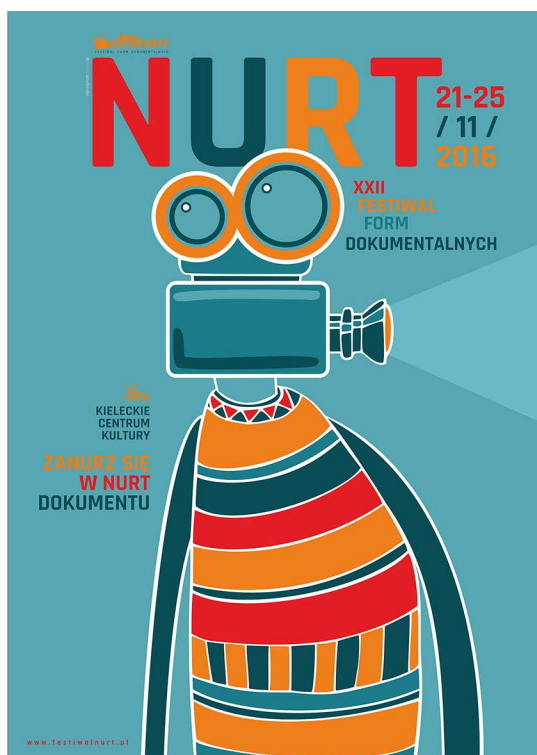
Dokument to nie tylko sprawy śmierci, pamięci i krwi, ale też medium odśladające humorystyczne aspekty otaczającej nas rzeczywistości.

przeszedł ten, wówczas nastoletni chłopiec. Dość powiedzieć, że wielokrotnie cudem unikał śmierci, a na swej drodze spotkał tak niesamowite postacie jak choćby Johna Gottowta – wybitnego, żydowskiego aktora, znanego z roli profesora Bulwera w „Nosferatu – Symfonii Grozy” (1922) W. F. Murnaua, zastrzelonego przez esesmana, niedoszonego aktora, który przed wojną podziwiał talent Gottowta. Ale najważniejszym elementem „Dotknięcia Anioła” jest to, że jest to film mówiący nie tylko o niegodziwości Polaków względem Żydów w czasie wojny (co ostatnio stało się

specjalnością polskiego kina, również dokumentalnego), ale mówi o ofiarności Polaków, którzy nadstawiali głowę, by pomóc ukrywającym się przez niemieckimi siepaczami Żydom.

Henryk Schoenker przeżył przede wszystkim dzięki temu, że w momencie kiedy wydawało się, że cała rodzina Schoenkerów skazana jest na zagładę, zjawił się tytułowy „anioł” – polski wędrowny dziad – który przeprowadził bohatera i jego bliskich przez najeżony hitlerowskimi patrolami las i wsadził do pociągu zmierzającego do getta w Częstochowie. Schoenker – teraz sędziwy, schorowany, głuchy człowiek – ze łzami w oczach powraca do czasów pełnych cierpienia, okrucieństwa, ale też dziecięcej radości, miłości i cudów, bez ogródek mówiąc, że żyje tylko i wyłącznie dzięki bohaterstwu i poświęceniu Polaków. Należy tylko żałować, że reżyser nie włączył do ostatecznej wersji filmu opowieści o powojennych losach bohatera filmu, który znalazł się w Izraelu, gdzie... pracował przy budowie izraelskiego samolotu bojowego, który miał nosić nazwę „Stalowy Anioł” (do budowy ostatecznie jednak nie doszło, bo Izrael otrzymał bojowe myśliwce od USA, dzięki czemu zresztą bohater mógł poświęcić się swej życiowej pasji – malarstwu).

Żeby jednak nie zostawać przy tematyce historycznej, trzeba wspomnieć o filmach dotyczących współczesności, które również zdobyły uznanie w oczach komisji artystycznej. Znakomity obraz „Cheerleaderki” Sławomira Witka – absolwenta świetnie rozwijającej się Gdyńskiej Szkoły Filmowej – zasłużenie zdobył



„Srebrny Nurt”. W tej rewelacyjnie sfilmowanej (efektownej, ale unikającej tandetności) opowieści o kapitan gdyńskich cheerleaderek, która prowadzi zajęcia dla niepełnosprawnych (poruszających się na wózkach) dziewczynek, młodemu reżyserowi udało się ukazać „obrzęd przejścia”, jaki tworzy dla swych małych, ale być może nieświadomych jeszcze okrucieństwa świata, podopiecznych bohaterka filmu. Prawdziwa „Walkira”, która poświęcając swój czas i energię dla dotkniętych kalectwem ruchowym dziewczynek, uświadamia im nie tylko fakt, że świat nie będzie miał dla nich

taryfy ulgowej, ale przede wszystkim pokazuje tkwiącą w nich siłę i inteligencję. Ten wspaniały film, w niezwykle efektowny, ale nie efekciarski sposób, ukazuje piękno – nie tylko to, zewnętrzne, reprezentowane przez posągową bohaterkę filmu – ale przede wszystkim wewnętrzne piękno i siłę, emanującą z jej wnętrza i wnętrza małych cheerleaderek na wózeczka.

Zupełnie innym w tonacji, ale przecież równie angażującym uwagę widza (przy tym zrealizowanym w dowcipny i pomysłowy sposób) był również nagrodzony w konkursie film „Ślimaki” w reżyserii Grzegorza Szczepaniaka (specjalne wyróżnienie jury NURT-u) – rzecz o dwóch młodych zapaleńcach, którzy postanawiają otworzyć farmę hodowlaną ślimaków. Ta naszpikowana odniesieniami do klasyki kina, przypominająca najlepsze wzory komediowe (czeskie kino!), filmowa krotkoczwila udowodniła, że dokument to nie tylko sprawy śmierci, pamięci i krwi, ale też medium odświeżające humorystyczne aspekty otaczającej nas rzeczywistości. Warto podkreślić, że XXII NURT odbył się już bez udziału Andrzeja Koziejki – wspaniałego człowieka, filmoznawcy, akademickiego wykładowcy, który przez wiele lat był członkiem Komisji Selekcyjnej. To właśnie „Koziejko”, jak o nim mówili bliscy i przyjaciele, wpadł na pomysł, by do konkursu przyjmować mniej filmów, ale za to takich, których wartość byłaby niepodważalna. Jakby realizując „testament” Koziejki, w tym roku „ilość przeszła w jakość” jeśli chodzi o prezentowane kino, co wyszło i festiwalowi, i widzom i szanownej komisji artystycznej tylko na dobre. ■



Malując kamerą

Bartosz Michalak
Zatrzymani w kadrze
 424 s. ; 25 cm
 Warszawa : Wydawnictwo MG, 2016
 791.071.5(438)

Piotr Kletowski

Chociaż polscy operatorzy filmowi cieszą się niestabnącą renomą w kraju i za granicą, książek poświęconych ich dokonaniom jest jak na lekarstwo. Właściwie od lat jedynym, porządnym opracowaniem tego zagadnienia była nieoceniona książka „Kino operatorów” wydana przed laty przez Alojzego Michalskiego, na okoliczność jednej z edycji Festiwalu Sztuki Operatorskiej „Camerimage” (odbywającej się jeszcze wtedy w Toruniu).

ZRESZTĄ I TA KSIĄŻKA BYŁA rodzajem całościowego spojrzenia na światową operatorkę, rzecz jasna z uwzględnieniem Polskiej Szkoły Reżyserów Obrazu (bo tak właściwie powinno się nazywać specjalistów od kreowania artystycznych zdjęć w procesie realizacji filmu). Książka „Zatrzymani w kadrze”, Bartosza Michalaka, zdaje się uzupełniać tę lukę w publicystyce filmoznawczej (popularnonaukowej bardziej, niż hard science), będąc ciekawym przyczynkiem do analizy dokonań polskich operatorów filmowych.

W swej książce autor opisuje osiągnięcia czołowych speców od kreowania obrazów, wywodzących się przede wszystkim z formacji Polskiej Szkoły Filmowej – fenomenowi na skalę światową – który na przetomie lat 50. i 60. objawił międzynarodowej publiczności talent filmowców znad Wisty. Przede wszystkim reżyserów (Wajda, Kutz, Kawalerowicz, Has), ale także ich współpracowników – operatorów filmowych właśnie, którzy ze swymi przyjaciółmi-reżyserami, tworzyli niezwykle, niezapomniane tandemy reżysersko-operatorskie (Wajda – Wójcik, Jahoda – Has, Laskowski – Kawalerowicz

i Witold Sobociński, który współpracował niemal ze wszystkimi „wielkimi” polskiego kina), dające zapierające dech w piersiach efekty wizualne, przywoływane i cytowane, tak przez praktyków filmowych, jak i widzów, po dziś dzień.

Ale Michalak nie zatrzymuje się li tylko na opisie dokonań reżyserów-operatorów z czasów PSF, oddając sprawiedliwość innym znakomitościom polskiej kinematografii, debiutującym już w latach 60., 70., czy nawet 80. (Witold Kłosiński, Piotr Sobociński, Paweł Edelman), pokazując ciągłość tego niezwykłego zjawiska szkoły „malujących kamerą”. Jednakowoż, to co najciekawsze w książce Michalaka to odpowiedź na pytanie, na czym tak naprawdę polega wielkość polskich operatorów filmowych. I ta odpowiedź pojawia się między wierszami opracowania – to dogłębne wykształcenie ludzi pracujących po drugiej stronie kamery. Nie tylko w dziedzinie technicznej obsługi kamery, filtrów, odpowiedniego ustawienia świateł, ale – przede wszystkim – w dziedzinie historii sztuki, zwłaszcza malarstwa. Choć nie tylko, bo ścisła współpraca między operatorem i reżyserem wymagała (wciąż wymaga) znajomości literackiego, kulturowego kontekstu, znajomością którego mogli zawsze „btysnąć” polscy operatorzy, dziś pracujący na całym świecie i – co ważne – próbujący, z powodzeniem stawać po drugiej stronie kamery.

Rzecz jasna nie tylko ogólnokulturowa wiedza jest atutem polskich mistrzów kamery, ale też coś, co można nazwać „pokorą” nie tylko wobec sztuki filmowej, ale przede wszystkim wobec reżysera i innych współtwórców kinematograficznego widowiska. Jak ujął to trafnie Witold Sobociński – operator filmowy zna swoje miejsce w szeregu – wie, że bez niego nie będzie filmu, ale jest on tylko współtwórcą filmu, bo autorstwo należy przede wszystkim do reżysera, który dokładnie wie jak ma wyglądać filmowy obraz, ale nie zawsze ma wiedzę jak to uzyskać. Książka Michalaka – choć nie uniknęła błędów (czasem narracja autora miesza się z wypowiedziami filmowców przywoływanymi w tekście książki, co tworzy pewien chaos) – co z pewnością można by rzucić na karb edytorskich braków – jest bardzo ciekawą pozycją na filmoznawczym rynku księgarskim, dającym wgląd w pracę polskich mistrzów kamery wyznaczających w swym zawodzie światowe standardy. Szkoda tylko, że książka ma wyłącznie czarno-białe fotografie, a przecież kadry z „Sanatorium pod klepsydrą” Hasa i Sobocińskiego to po prostu wzorcowe zdjęcia filmowej, kolorowej fotografii, w magiczny sposób budujące atmosferę wyjętego z Schulzowskich rojeń Drohobycza, w którym czas stanął w miejscu. ■

OTÓŻ CHODZIŁO O TO, ŻE WEDŁUG reżysera „Szamanki”, kino musi tętnić zmysłowością, jeśli tego nie ma kino jest... I tu chciałoby się zacytować mistrza Andrzeja, który mówił o takim nie-zmysłowym kinie wprost jako o kinie... – ale może użyje w tym momencie eufemizmu – przypominającym żeńskie narządy płciowe w „stanie spoczynku”. Z pewnością kino, jakie opisuje w swej ciekawej książce „Rubieże przyjemności” Paweł Sołodki, do pogardzanych przez mistrza Andrzeja nie należy. Ponieważ autor opisuje niezależne kino amerykańskie, wyspecjalizowane w ukazywaniu ludzkiej seksualności. Seksualności nie tylko w wydaniu artystycznym, ale przede wszystkim w wydaniu bezpośrednim – ocierającym się o pornografię lub też wprost pornograficznym. Sołodki w swej książce, będącej wersją doktorskiej rozprawy, mierzy się z historią kina, jakiej próżno by szukać w ogólnie dostępnych, akademickich opracowaniach, skupiających się na głównonurtowym, realizowanym przez duże studia kinie amerykańskim, które bardzo wcześniej (bo już od lat 20 XX wieku) stało się przedmiotem zainteresowania cenzury (stawetnej komisji Haysa dokładnie precyzującej, co można było pokazać w kinie, a czego nie).

Autor „Rubieży przyjemności” opisuje te zjawiska filmowe, które kwitły jakby „po drugiej stronie lustra”: czy to w kinie awangardowym, czy po prostu w kinie realizowanym przez ryzykantów, którzy wykładając własne pieniądze i nadstawiając karku, tworzyli filmy dostarczające seksualnej przyjemności ich widzom. Tak więc znajdziemy w książce opis dokonania twórców kina pornograficznego. Od pionierów Blue Movies – „błękitnych filmów”, bo tak określano obrazy tego typu w okresie kina niemego, gdzie wirażowano, czyli barwiono na niebiesko sceny rozgrywane się w nocy, a więc siłą rzeczy wczesne „pornole” – aż po mogulów kina dla dorosłych, w latach 70. wprowadzających (na krótką chwilę) twardą pornografię do normalnych kin (przypadek filmu „Głębokie gardło”, 1972 Gerarda Damiano). Autor odważnie analizuje nawet bardzo transgresyjne obrzeża kina pornograficznego (pisząc np. o filmach snuff – czyli obrazach mających ukazywać prawdziwą śmierć – o których po dziś dzień krążą miejskie legendy), ale też takie filmowe dziwactwa jak beaver movies. Ale nie tylko o pornografii tu mowa. Lwia część książki poświęcona jest amerykańskiemu kinu awangardowemu, gdzie tacy artyści jak Kenneth Anger, czy Jack Smith eksperymentowali ze śmiałymi wizualizacjami na granicy erotyki i pornografii, tworząc obrazy absolutnie zakazane w mainstreamie, ukazujące miłość homoseksualną, czy sadomasochistyczne ekscesy.

Błękitne obrazy na obrzeżach

Paweł Sołodki
Rubieże przyjemności. Reksualna niesubordynacja na obrzeżach amerykańskiej kinematografii
530 s.; 20 cm
Gdańsk : Wydawnictwo Naukowe Katedra, 2015
791.226(73)



Piotr Kletowski

Świętej pamięci Andrzej Żuławski miał kiedyś powiedzieć, że film musi być erotyczny, nawet jeśli z założenie nie jest erotyczny. Co znaczyły te słowa wielkiego, polskiego reżysera, który od cielesności, zwłaszcza w kontekście seksualnym nie stronił, a nawet uczynił z niego swego rodzaju fetysz?

To właśnie ta część książki jest chyba najciekawsza, zwłaszcza, że to dokonania filmowych awangardzistów, z czasem uznane i szanowane, otworzyły nawet mainstream na obrazy erotyczne, wcześniej zarezerwowane wyłącznie dla kina eksperymentalnego. A twórcy tacy jak John Waters, twórca legendarnych „Różowych flamingów” (jak chcą „najobrzydlivszego filmu na świecie”, gdzie akt koprofagii był jedną z wielu wizualnych „atrakcji”), dziś cieszą się estymą klasyków kina i realizują swe wizje za pieniądze dużych wytwórni filmowych. Swą filmową podróż autor dociąga do lat 80., kiedy technologia VHS przegoniła ostatecznie amatorów pikantnych obrazów z kin, w głąb domowego zacisza, choć z drugiej strony demoniczny obraz pornografii zaczynał nabierać nieco łagodniejszych kształtów, przenikając do mainstreamowych treści nie tylko filmowych (porno-chic amerykańskich gwiazd rocka, lansowanych przez MTV jest tu jaskrawym przykładem).

Książka Sołodkiego to rzecz nie do pogardzenia dla wszystkich dogłębnie zainteresowanych amerykańską kulturą audiowizualną w kontekście antropologicznym, choć można zarzucić jej pewną stronniczość (niwelującą niekiedy poznawczy dystans), jaki wykazuje nieco nadmiernie zafascynowany, często jednak patologicznymi zjawiskami, autor.

seksualność nie tylko w wydaniu artystycznym



Izabela Łazarczyk-Kaczmarek

Kubeł z gorącą wodą – niestety...

10 tysięcy robotników legalnie,
a 100 tysięcy „na czarno”



Wystawa „Fair Building” w Instytucie Dizajnu to realizacja Dominiki Janickiej, we współpracy z Martyną Janicką i Michałem Gdakiem. Przyczynkiem do niej był m.in. artykuł „Bunt na wysokości” w „Dużym Formacie”. Pomysł został zauważony przez warszawską „Zachętę” i wygrał konkurs na kuratorską wystawę w polskim Pawilonie na 15. Międzynarodowym Biennale w Wenecji, a „New York Times” napisał, że jest to jedna z sześciu prezentacji, których nie można pominąć.



Fot. Tomasz Kozłowski

W KIELCACH WYSTAWA ZOSTAŁA zaprezentowana w nieco innej formie, ze względu na warunki miejsca ekspozycji. W ID podzielono ją na dwie strefy. Pierwszą, w której możemy posłuchać kilkuminutowych filmów z wypowiedziami architektów i zapoznać się z infografikami oraz drugą, gdzie postawiono budowlane rusztowanie, poukładano palety i cegły. W tę przestrzeń wpisano również dwa ekrany z filmami.

O ile sam pomysł – próba pokazania ciężkich warunków pracy na budowie i zwrócenie uwagi na „fair trade”, również w tej dziedzinie to nowe spojrzenie na architekturę „od podstaw”, nie tylko na osobę architekta i sam wynik, ale również na „szare eminencje” każdej budowy, to niestety próba ta nie do końca się udała. Niestety, kilkuminutowe filmy jak „Architekci na budowie” czy „Działania Międzynarodowej Organizacji Pracy (International Labour Organization – ILO)” nie pozwalają na szersze poznanie problemu, ponieważ architekci wypowiadający się w pierwszym filmie, stwierdzają jedynie rzeczy oczywiste i które można zastosować do wszystkich dziedzin. A mianowicie: jeśli zespół nie jest zgrany to pracuje się wolniej i mniej wydajnie, jeśli dyrektor – tu architekt nie ma autorytetu, też niełatwo uzyskać zamierzone efekty... Ponadto pokazywane bez dźwięku filmy na dużych ekranach: wywiad z jednym z robotników czy z pracy przy budowie, nie pozwalają na „poczucie bólu” i trudu budowniczych. Wręcz przeciwnie wypowiedzi jednego z nich, że *pracuje w tym zawodzie od lat –nastu i że lubi swoją pracę*, następnie pokazywanie uśmiechniętych twarzy innych „budowlańców”, sprawiają nieco infantylne wrażenie, nie widać tu skali problemu. Nie mówią oni o tym, co dla nich ważne, z jakimi problemami spotykają się najczęściej, a zwłaszcza o wypadkach, które zdarzają się niezwykle często. Zabrakło po prostu filmów, po obejrzeniu których poznalibyśmy wybrane ludzkie historie, zabrakło konfrontacji z trudem pracy tych ludzi.

Oczywiście infografiki pokazują zatrważające liczby, np. zatrudnianie jedynie 10 tysięcy robotników legalnie, a 100 tysięcy „na czarno”, wskazanie, jakim kosztem powstają polskie i międzynarodowe inwestycje, kto jest zaangażowany w ich budowę. Zestawienie jednak tychże informacji ze zdjęciami konkretnych realizacji architektonicznych pozwoliłoby na lepsze

Fot. Tomasz Kozłowski



dotarcie do przeciętnego odbiorcy, który nie zawsze potrafi przywołać w pamięci obraz np. Kulturalnego Centrum Abu Dabi na wyspie Saadiyat czy budynki biurowe z wioski olimpijskiej w Soczi czy IO w Pekinie w latach 2004-2008! Dla większości będą to tylko nazwy. Równocześnie cisza panująca na wystawie nie zaś „odgłosy budowy”, które wydawałyby się najbardziej adekwatne, sprawiają dziwne, niepokojące wrażenie. Nie wiemy również, na czym swoje dane opierają autorzy tejże ekspozycji, jak zbierano materiały, jak powstały statystyki.

Przed wejściem na wystawę czytamy *...Kupujemy coraz więcej produktów spożywczych z naklejkami „fair trade”. Zastanawiamy się nad wyborem butów ze względu na to, czy zostały wykonane przez godziwie opłaconych rzemieślników. Boykotujemy firmy odzieżowe, które szyją w niegodnych i upokarzających warunkach... i dalej ... czy kiedykolwiek zastanawialiśmy się nad tym czy budynek, w którym obecnie przebywamy, powstawał w bezpiecznych dla budowniczych warunkach? Czy został wykonany etycznie? O co to znaczy?* Niestety problem „fair trade”, etyczności, niknie gdzieś na wystawie, brak jej dosadności i przystoślowego „wylania kubła z zimną wodą”. A szkoda, tym bardziej, że problem będzie istniał nadal... 

Paleontologiczny raj i historyczne bogactwo

Michał Jaworek

Pisać o ziemi sandomierskiej i o ziemiach dzisiejszego województwa kieleckiego, czyli o międzyrzeczu Pilicy i Wisły, w czasach powstawania i pierwszych stuleci rozwoju państwa polskiego jest zadaniem pięknym i trudnym. W taki sposób, na początku lat 60. XX wieku skomentował mało dotychczas udane próby historiografii polskiej wybitny badacz naszych dziejów, Aleksander Gieysztor.

BYNAJMNIEJ NIE chodziło mu o szczupłość materiału źródłowego czy niewielką liczbę publikacji dotyczących tego regionu. Wręcz przeciwnie, ogrom informacji, zwłaszcza poczynając od późnego średniowiecza, utrudnia syntetyczne spojrzenie na mozaikę tematyczną, która nierzadko jak przyschnięta lawą faktów, postaci, wytworów kultury materialnej i duchowej czy mitów, utrudnia ułożenie spójnej narracji historycznej. Jaki zatem cel przyświecał organizatorom, wydawcom, redaktorom i autorom pierwszego tomu „Almanachu Świętokrzyskiego”?

Wróćmy zatem do początku książki. Łatwo możemy się wówczas zorientować, że w Radzie Programowo-Naukowej znaleźli się przedstawiciele środowisk akademickich, instytucji naukowo-ba-

Almanach Świętokrzyski, t. I, Z dziejów regionu świętokrzyskiego,
red. Piotr Kardyś, Andrzej Sopoćko
288 s. ; 24 cm
Warszawa : Izba Gospodarcza Ubezpieczeń i Obsługi Ryzyka, 2016
94(438):903/904(438)

świętokrzyskiego. A do tego jeszcze przedstawiciele stowarzyszeń regionalnych. Pewne zdziwienie wzbudzi na pewno liczna obecność środowisk finansowych (zwłaszcza z zakresu ubezpieczeń). Zapewne Cezar widząc taką mieszaninę rzekłby mimochodem: *qui p... aquam turbat?* A odpowiedź jest zadziwiająca i krępująca zarazem. Otóż „warszawskie”, przede wszystkim, środowisko finansów dostrzegło w regionie świętokrzyskim olbrzymie potencjały – który my widzieliśmy od zawsze – możliwy do wykorzystania przy opracowywaniu planów rozwoju kraju i budowy nowoczesnych rynków finansowo-ubezpieczeniowych. Muszę przyznać, że jako prawie rodowity świętokrzyszczanin, (piszę prawie, ponieważ jestem małoletnim „eksportem” z tzw. Ziemi Odzyskanych), w ciemno przyjmuję taką inicjatywę.

Całość podzielono na trzy części. W pierwszej pt. „Ziemia świętokrzyska – terra incognita”, autorzy (Jerzy Jędrzychowski, Michał Poros, Andrzej Wąsikowski, Paweł Król) skoncentrowali swoją uwagę na paleontologii świętokrzyskiej, lokalnych surowcach skalnych, krzemieniu i licznych jaskiniach. W drugiej, pt. „Ku spocieczności świętokrzyskiej” (Piotr Kardyś, Rafał Matecki, Andrzej Drogosz, Marcin Janakowski, Jacek Pielas, Piotr Olszewski, Stanisław Nowak, Andrzej Sopoćko, Katarzyna Jedynak, Paweł Kołodziejki) podjęli próbę przybliżenia wybranych zagadnień z dziejów regionu, jak: Rezerwat Archeologiczny Rydno, kwestię znajomości koła wśród społeczności neolitycznych między Wisłą a Pilicą, casus Wiślicy i Świętego Krzyża, rolę rodu Odrowążów, przemysł górniczo-hutniczy klucza chlewickiego, podstawę źródłową do dziejów szlachty sandomierskiej, Małachowskich i Końskich w epoce oświecenia, spocieczność

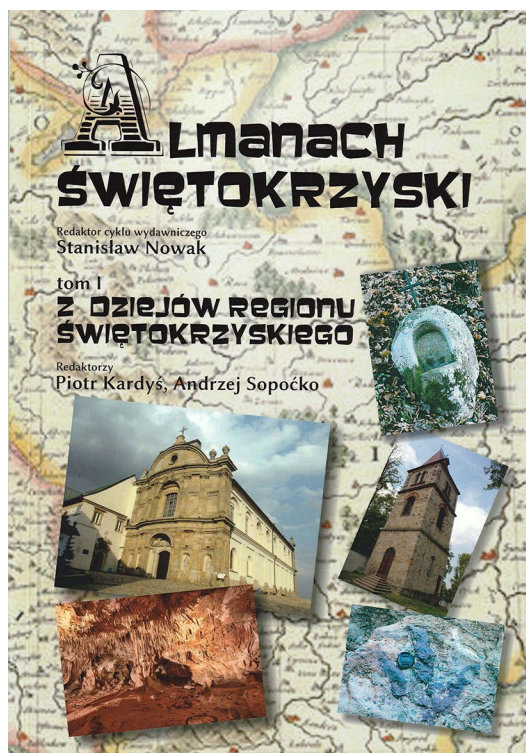
żydowską, działalność dobroczynną ziemianstwa oraz miastotwórczą rolę przemysłu.

Część trzecia prezentuje cztery postacie o znaczeniu ponadregionalnym: Jana Długosza, Jana Gotliba Blocha, Stefana Krukowskiego i Włodzimierza Sedlaka (autorzy – Beata Wojciechowska, Marcin Medyński, Piotr Kardyś, Ryszard Sowa). Całość została poprzedzona wstępem od redakcji, zwracającym uwagę na najważniejsze fakty z dziejów regionu między Wisłą a Pilicą, tłumaczącym subiektywny wybór publikowanych tekstów i podkreślającym wyjątkowość niezwykłego zagadnienia, jakim jest ziemia świętokrzyska. Warto także dodać, iż jest to publikacja recenzowana przez naukowców, których kwalifikacje nie podlegają wątpliwości: prof. Jerzego Szczepańskiego z Uniwersytetu Jana

Tylko czy to wystarczy, by tetrapod zauroczył świat warszawskiej finansjery?

Kochanowskiego (historia) i dr inż. Jana Urbana z Instytutu Ochrony Przyrody PAN w Krakowie (geologia).

Wypada zatem zapytać, czy tetrapod z Zachełmia, jaskinie z Kielc i okolic, ochra z Rydna, krzemień, wszechobecna ruda żelaza, zabytki Wiślicy, znaczenie Św. Krzyża w historii i literaturze, próby realizacji gospodarczych ideałów oświecenia, znaczenie uprzemysłowienia dla urbanizacji oraz wybitne osobowości są wystarczającym powodem do sięgnięcia po pierwszy tom Almanachu? Według mnie tak. Nie tylko z powodu przywoitych standardów edytorskich (bibliografia przedmiotu, streszczenia w jęz. angielskim) i poziomu merytorycznego tekstów. Również przystępna dla mniej wyrobionych czytelników forma prezentacji dociekań autorów jest mocną stroną publikacji. I właściwie jedyne zastrzeżenie wzbudza skromna szata graficzna, bowiem przy takim wachlarzu zagadnień, aż prosi się o obszerny materiał ilustracyjny i to w kolorze. Tylko czy to wystarczy, by tetrapod zauroczył świat warszawskiej finansjery? By krzemień pasiasty, jaskinie, wiślicka płyta orantów, Dom Długosza, przemysłowy „skansen” świętokrzyski zainteresował i przyciągnął więcej niż tylko dymarkowych i niedzielnych turystów?



dawczych i edukacyjnych oraz finansowych, i to w bardzo obszernym składzie. Nie brakuje wśród nich – co oczywiste – reprezentantów nauki z regionu

Obrazki z domu umarłych



cechy narzucone, zrodzone z rasizmu,
wykreowane przez propagandę



Komiks i powieść graficzna (choć podział ten uważam za sztuczny) jako gatunek – specyficzny, bo obdarzony medium obrazowym – ale ze wszech miar literacki, zaczyna być postrzegany jako intelektualnie spełniony, artystycznie doskonały po przyznaniu Nagrody Pulitzera (1992) Artowi Spiegelmanowi za album „Maus”.

Paweł Chmielewski OCENIAJĄC ARTYSTYCZNĄ RANGĘ i znaczenie dzieła twórcy „Real Pulp” trzeba przypomnieć rewolucję schyłku dziewiętnastego stulecia i lat 20. XX w. – narrację Conrada, wieloksiąż pamięci Prousta, sytuację kafkowską, podróż Jamesa Joyce’a. Zbiorcze polskie wydanie „Mausa” („Mój ojciec krwawi historią”, „I tu się zaczęły moje kłopoty”) zwraca od razu uwagę z dwóch powodów – czarno-białego rysunku Spiegelmana, naśladującego obozowe karty i stemple potajemnie robione przez więźniów oraz tłumaczenie Piotra Bikonta, który specyficzną angielszczyznę głównego bohatera Władysława Szpilgimana (Vladka Spiegelmana) wystylizował na przedwojenny język Żydów, dla których polszczyzna była językiem drugim, po jidysz.

Opowieść, bazując na retrospekcji, poetyckim chwycie obcym raczej historiom obrazowym, rozgrywa się w dwóch perspektywach czasowych. Współczesna o tworzeniu komiksu, rozmowach z ojcem, trudnych relacjach Arta z Władysławem, to doskonały psychologiczny rys „ocalonego” z Holocaustu – drażniące, czasem żałosne, tragiczne skąpstwo, natręstwa ojca i kompulsywne obsesje tłumaczą się same – gettem, śmiercią starszego syna, pobytem w Auschwitz, samobójstwem żony po wojnie. Światem, który stary Żyd wspomina: *Życie zawsze staje po stronie żywych, a wina, w jakimś sensie, obciąża ofiary. Ale to nie NAJLEPSI przetrwali, ani też nie najlepsi zginęli. To był PRZYPADEK.*

Na planie przeszłości to piękna historia przedwojennej miłości Władysława i Andzi, wojennej gehenny „podludzi”, obozu koncentracyjnego. Jak we wspomnieniach imiennika – pianisty Władysława Szpilmana – wciąż powraca przypadek. Tam pozwoliła ocaleć gra na fortepianie, Spiegelmana ratują umiejętności językowe, gdy uczy obozowego kapo angielskiego, gdy potrafi

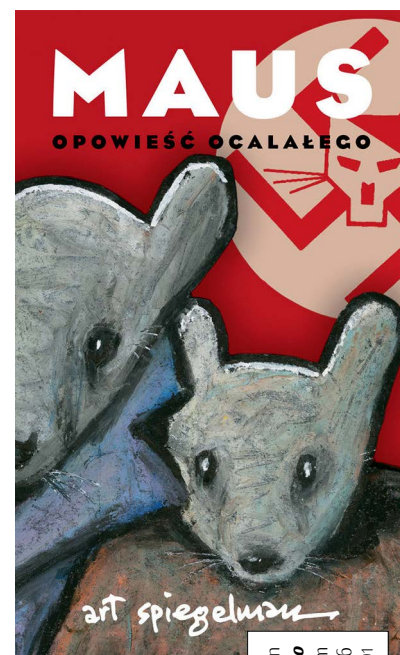
zrozumieć esesmana, gdy po „marszu śmierci” jest jedynym więźniem, który potrafi porozmawiać z francuskim – otrzymującym paczki – jeńcem w Dachau.

Wiele kadrów „Mausa” skrzy się – to nie paradoks – specyficznym, wielocowym humorem: *I jak ty byłeś niemowlę, to ta ręka zawsze ci skakała do góry, o tak! Do śmiechu mówiliśmy na ciebie heil hitler!*

„Maus” – na podobieństwo „Folwarku zwierząt” George’a Orwella – formalnie nawiązuje do tradycji bajki oświeceniowej, która z kolei była kontynuacją tradycji Ezopa. Ukryte pod maskami zwierząt nacje – Żydzi – myszy, Niemcy – koty, Polacy – świnie, Amerykanie – psy, Francuzi – żaby, Romowie – muchy niosą, konotacje znaczeniowe – czy chcemy tego czy też nie – sklejone z cechami narodowymi. Są to zresztą, niejednokrotnie, cechy narzucone, zrodzone z rasizmu, wykreowane przez propagandę. Drugą część otwiera cytata z niemieckiej gazety z połowy lat 30., który tłumaczy artystyczny wybór Spiegelmana: *Myszka Miki jest najbardziej haniebnym ideałem, jaki kiedykolwiek został wynaleziony... Zdrowy rozsądek podpowiada każdemu myślącemu, dorastającemu i prawemu młodzieńcowi, że to obrzydliwe, brudne plugastwo, ten największy nosiciel bakterii w świecie zwierzęcym, nigdy nie może stać się prawdziwym zwierzęciem – przykładem do naśladowania... Koniec ze dziedziczością narodów za sprawą Żydów! Precz z Myszką Miki! Noście swastyki!*

„Maus” Arta Spiegelmana na równi z arcydziełami literatury – „Rokiem 1984” George’a Orwella, „Nowym wspaniałym światem” Aldousa Huxleya, „Opowiadaniach oświęcimskich” Tadeusza Borowskiego, „Świecami na wietrze” Grigorija Kanowicza i prozą Szatamowa oraz filmu, na czele z „Idź i patrz” Elena Klimowa i „Shoah” Claude’a Lanzmanna – może stać się świadectwem „czasów pogardy”, statym elementem kanonu kształcenia humanistycznego.

Świat literackiej celebry – zrodzony wbrew wielu autorom – świat mierzony nagrodami literackimi dzieli się na ten noblowski, przed i po Dylanie oraz Pulitzery przed i po „Mausie”.



Art Spiegelman
Maus. Opowieść ocalałego
297 s.; 24 cm
Warszawa : Wydawnictwo Komikssowe, 2016
94(100)1939/1945:341.322.5.821.11(73)-91

Łukasz Szaruga

Cień „Taksówkarza” nad ziemią kielecką

Ze śladami doznań akustyczno-wizualnych pozostawiła uczestników XV edycja Festiwalu Firmament, będącego ważnym punktem na kieleckiej mapie kulturalnej. W dniach 16 i 17 grudnia znalazło się miejsce na misternie utkane wizualizacje, wygrywanie rytmu na egzotycznym instrumentarium oraz saksofonowe tony ulatujące wraz z dymem papierosowym.

Z POMOCĄ W WYJAŚNIENIU znaczenia sloganu „Nowa Muzyka, Nowe Media”, definiującego tożsamość przedsięwzięcia, pomogła nota na stronie organizatora: *(to hasło) towarzyszy festiwalowi Firmament od kilkunastu lat i odzwierciedla ideę promowania najnowszych zjawisk, trendów szeroko rozumianej muzyki współczesnej i sztuk audiowizualnych. Prezentujemy Artystów niebanalnych, nieznaną kieleckiej publiczności. W charakter wydarzenia wpisane jest „odkrywanie” nowych światów sztuki.*

Prezentację dźwiękowych „znalezisk” zainaugurował duet Dimension-D. Kielczanin Dariusz Makaruk i partnerująca mu hiszpanka Alba G. Corral otworzyli się na ambientowe horyzonty, wiodąc aż poza granice stratosfery. Integralny element widnokręgu stanowiły wizualizacje, bądź zwielokrotniające się i zastygające w fantazyjne formy, innym razem rozpadające się w mgławice, naruszane nagłą zmianą częstotliwości dźwięków. Gdy zwiewne płótno ambientowej błogości przetkane zostało damskimi wokalizacjami, widz ujrzał bogate wnętrza katedry, zaś pulsujący, basowy podkład sunący między gęstymi fakturami powołał do istnienia marmurów, kobiecą rzeźbę. 40

minut wypełnione zostało elektronicznymi ilustracjami, miejscami naruszanymi dronowymi pasażami.

Wkrótce potem laptop ustąpił miejsca perkusjonaliom. Kolektyw Rito, obierając tę nazwę, musiał nałożyć na siebie zobowiązanie do urzeczywistniania muzycznej liturgii, „rito” bowiem w esperanto oznacza „obrzęd”. Początek, wraz z pierwszymi taktami, zdawał się zwiastować egzotyczną przeprawę w duchu Anouara Brahema, rytm wygrywany na

ambientowe
horyzonty poza
granice stratosfery

tabli może bowiem zwieść. Im dalej jednak w głąb, tam częściej natrafiało się na narastające tempa, zapętlone rytmy i gęstniejącą aurę szamańskiego rytuału. Momentami przesterowane, gdzie indziej onirycznie stonowane akordy Piotra Pawlaka sunęły nad szaleńczymi eskapadami, w jakie wyprawiali się Michał Gos i Jacek Stromski. Obaj wspomagani

momentami przez Kubę Staruszkiewicza, wcielili się w rolę przewodników rysujących rytmiczną marszrutę, prowadzącą pośród szalejącej rzezi wybrzmiewającej szczykiem broni, kończącą bieg na powstającym pobojuwisku.

Drugi wieczór festiwalowy i srogi zawód dla słuchaczy. Oto oczekiwane mu pod szyldem Stara Rzeki Jakubowi Ziótkowi nie było dane zagrać. To musiało stworzyć asumpt dla przebojowych jazzmanów z Niechęci dla zrekompensovania publicznie rozczarowania. I przyznać trzeba, że na scenie muzycy dali dowód na możliwość wybrzmienia jeszcze intensywniej niż w wymiarze studyjnym.

Gros setlisty wypełniły kompozycje z tegorocznego albumu „Niechęć”, co pozwoliło na wstuchanie się w otwierającą koncert „Krew”, wielowątkowy „Trzeba to zrobić”, czy „Widzenie”. Nie zabrakło reprezentantów krążka, który zapewnił muzykom należyte uznanie – „Śmierci w miękkim futerku”. „Taksówkarz” i „After You” zyskały rozbudowane wcielenia. Krótco po nich, po mającym miejsce wcześniej szaleńczym perkusyjnym solo Michała Kaczorka, to tragicznie rozdzierających, innym razem rozczulających saksofonowych narracjach Macieja Zwierzchowskiego na scenie pozostali osamotnieni gitarzysta Rafał Błaszczak i klawiszowiec Tomasz Wielechowski spowici powoli rzedającym, tytoniowym obłoczkiem, uwitym podczas koncertu przez obu.

Wystawom prac fotograficznych przyświecała w tym roku idea somnambulicznego surrealizmu, idąc za opisami przygotowanymi przez artystów. I o ile w przypadku Andrew Tarnawczyka z jego powykręcanyimi postaciami kobiecymi, obdarzonymi nienaturalnymi proporcjami ciał uczuć, można spoistość zamysłu, to u Wiktora Franko towarzyszy wrażenie przebranej miary – poza oniryczną atmosferą twórca postawił również na ukazanie dziewcząt o hipisowskim wdzięku czy pofragmentowanych twarzy. Znalazł się tu również zadumany John Porter.

Jeśli organizatorzy pozostaną przy dotychczasowej programowej idei, a olbrzymiejący w zastraszającym tempie kalejdoskop zjawisk muzycznych w Polsce stwarza ku temu doskonałą sposobność, to przez Małą Scenę Kieleckiego Centrum Kultury przewinie się zapewne jeszcze nie jeden klawiszowiec puszczaający kółka z dymu.



Fot. Krzysztof Krogulec

Stukot szyn pociągu linii M

Patti Smith wielką artystką jest i na tę nutę grać winny klawisze odgrywające wzniosły hymn na cześć wymienionej twórczyni, którą niegdyś mianowano matką chrzestną punk rocka... Jednak nie dajmy zwieść się legendzie. Przede wszystkim dlatego, że Patti Smith tego nie zrobiła. O tym, że od zawsze podąża własnymi drogami, świadczy chociażby jej najnowsza propozycja literacka „Pociąg linii M”.

Marta Baran

BĄDŹMY JEDNAK OSTROŻNI i nie dajmy się zwieść w naszej ocenie. Spójrzmy dalej aniżeli na wizerunek nieco posępnej, androgynicznej i zapatrzonej w przestrzeń Patti, którą widzimy na okładce, a zobaczymy, jak bezsensownym jest nazywanie jej bożyszczem rock’n’rolla, czy czołową postacią współczesnego feminizmu. Skoncentrujemy zatem swoją uwagę na punkcie, na który, dosłownie i w przenośni zerka autorka.

Patti Smith w „Pociągu linii M” stara się naśladować Prousta. Autorka, nawiązując do przeszłych wydarzeń, szczególną uwagę skupia na relacjach z ludźmi, którzy już nie żyją, m.in. opisując swój związek z mężem Fredem „Sonicem” Smithem, znanym gitarzystą zespołu MC5. Wspomnieniowy charakter prozy uprawianej przez Patti Smith można śmiało nazwać znakiem rozpoznawczym wszystkich publikacji jej autorstwa. Bowiem, zarówno „Poniedziałkowe dzieci”, jak i „Obłokobujanie” przypominają swoją formą pamiętnikarski zapis początków jej działalności artystycznej. Z tą tylko różnicą, że pierwsza z książek opowiada o życiu w nowojorskiej bohemie lat 70. u boku Roberta Mapplethorpe’a, ówczesnego partnera Smith. Kolejna książka zaś, obejmuje swą treścią czasy dzieciństwa artystki, w którym jej artystyczne aspiracje dopiero się formowały. „Pociąg linii M”, bez wątpienia, traktuje o najbardziej bolesnym okresie w jej życiu. Mianowicie, Patti jest w nim już poważaną artystką, matką, kobietą, z wyraźnie wytyczonymi celami... Parafrazując tytuł, rzec można, jej podróży. I nagle w tym ustabilizowanym punkcie w czasie, całkiem niespodziewanie, najbliższe jej osoby, które mobilizowały ją do dalszego działania, odeszły.

Gdzie udała się Smith, gdy znane szlaki się urwały? Napisana przez nią książka, z pewnością, świadczy o tym, że nie zawróciła z obranej przez siebie drogi



Patti Smith
Pociąg linii M
237 s. ; 23 cm

Wołowiec : Wydawnictwo Czarne, 2016
78.071.2.821.111(73)(091):929-051(73)*19"

**Patti
Smith**

POCIĄG LINII M

Mój berliński hotel mieścił się w wyremontowanym budynku, wzniesionym w stylu Bauhausu [...]. Miał wszystko, czego potrzebowałam, i był blisko Pasternak Café, którą odkryłam na spacerze w czasie swojej poprzedniej wizyty w Berlinie, będąc u szczytu obsesji na punkcie Mistra i Małgorzaty Michaiła Bułhakowa. Zostałam bagażem w pokoju i od razu poszłam do tej kawiarni. Właściciela przywitała mnie uprzejmie, a ja usiadłam przy tym samym stoliku co wtedy, pod portretem Bułhakowa. Tak jak przedtem urzekł mnie czar świata, którego już nie ma. Wyblakłe niebieskie ściany były ozdobione fotografiami moich ulubionych rosyjskich poetów, Anny Achmatowej i Włodzimierza Majakowskiego. Na szerokim parapecie po mojej prawej ręce stała stara rosyjska maszyna do pisania o okrągłych klawiszach z cyrylicą, idealna towarzysząca dla mojego samotnego remingtona.



i postanowiła dalej tworzyć. Poddając „Pociąg M” wnikliwej analizie, pokusić się można nawet o stwierdzenie, iż na jej genezę wpłynęły założenia znane kulturze jako freudowska teoria sublimacji. Przecież, dzięki bólom, którego doświadczyła pisarka w obliczu licznych strat, finalnie powstało to dzieło. Ponadto, umiejętność przetworzenia smutku w piękno, za pośrednictwem tworzenia, sprawiło, że odautorskie przesłanie zawarte w lekturze niesie iście pozytywny wydźwięk. Smith głosząc apoteozę życia potrafi dostrzec, w jaki sposób wymiary się przenikają, świat ludzi kolaboruje z zaświatami, a przyszłość to nic innego, jak konsekwencja przeszłych wyborów.

W świetle powyższego rodzi się refleksja – gdzie jeszcze uda się „nasza, stara, dobra” Patti Smith? Uwzględniając losowość ludzkiego istnienia, próżno szukać klarownej odpowiedzi. Jedno jednak jest pewne – artystka nie zboczy z drogi. Nawet nie zwolni, konsekwentnie podążając swoim torem. Jak sama z dozą humoru deklaruje na ostatnich kartkach „Pociągu linii M”: *Dzisiaj jestem starsza niż moja miłość, moi przyjaciele, którzy już odeszli. Być może będę żyła tak długo, że Nowojorska Biblioteka Publiczna zostanie zmuszona przekazać mi łaskę Virginii Woolf. Opiekowałabym się nią tak długo, jak kamieniami z kieszeni pisarki. Ale żyłabym dalej, nie godząc się na to, by odłożyć pióro.*

To tyle... Czas wysiadać z „Pociągu linii M”!

Głodne serce

Sylvia Gawłowska

Wiele dni rozważałam, jak spojrzeć na najnowszą płytę Włodka Kiniorskiego i Grażyny Szapołowskiej, która ukazała się w listopadzie nakładem Agencji Muzycznej Polskiego Radia. Czy mamy tu do czynienia z piosenką aktorską, a może poezją śpiewaną? A może gatunkowej tożsamości tej płyty poszukiwać należy w zupełnie innych rejonach? Te wątpliwości przez wiele dni chodziły za mną jak wytrwały cień...



Grażyna Szapołowska, *Kochaj mnie*, Polskie Radio SA, 2016

WIEMY DOSKONALE, JAK ISTOTNE dla właściwego rozumienia intencji Artysty jest odnalezienie właściwego kontekstu. Ów kontekst stał się dla mnie istotą płyty „Kochaj mnie”. Wołanie o miłość, przeobrażone w akt i proces twórczy, to dla mnie właściwy klucz interpretacyjny projektu Włodka Kiniorskiego i Grażyny Szapołowskiej. Opowieść, która stała się wynikiem subtelnej przyjaźni tych dwojga może być próbą tamania stereotypu o kobiecości.

Płyta powstawała długo. Rodziła się na przestrzeni wielu miesięcy. Ten proces zdaje się tu być najbardziej interesujący. Nazwisko artystki to swoisty *trade mark* kobiecości i klasy. Siła tego skojarzenia jest tak silna, że skłonni jesteśmy zidentyfikować płytę „Kochaj mnie” jako produkt, którego jedyną siłą sprawczą jest popularność aktorki i jej niewątpliwa uroda... Mówimy „Szapołowska” i od razu widzimy... kobietę, gest, szyk, luksus i elegancję. Widzimy kobietę kochaną, podziwianą i adorowaną. Tymczasem tytuł tej płyty i jej treść łamią stereotyp, który przez wiele lat swoimi kreacjami aktorskimi Szapołowska utrwała. Śpiewająca kobiecość Szapołowskiej to łaknienie miłości, bezbronność i refleksja dotycząca niepowtarzalności uczuć, którymi obdarowana pragnie być każda kobieta. Wszystko za sprawą poezji, po którą sięgnęli artyści. Na krążku znalazły się teksty Jana Nowickiego, Bułata Okudźawy, Bogdana Loebła, Wistawy Szymborskiej i samej Szapołowskiej. Rozmaitości autorów towarzyszy jednak spójna, pojawiająca się w każdym śpiewanym wierszu – myśl.

Tęsknota za miłością: *Nakarm myślą głodne serce/ Nim przyprószy smutek nas* („Nakarm Myślą”, G. Szapołowska). *Tul w ramionach albo więcej/ Weź na zawsze głupie serce* („Jesteśmy”, J. Nowicki). *Pierwsza miłość z wiatrem gna, z niepokoju drży* („Trzy miłości”, B. Okudźawa). *Ja nie przeczułam, tyś nie odgadł/ Że nasze serca świecą w mroku* („Nadzy kochankowie”, wiersz W. Szymborskiej „Jawność”). *Bezdomny lecz/ Nie wzięty pod mój dach/ Wchodzisz w me sny/ W snach moich karmię cię* („Pies”, B. Loebel).

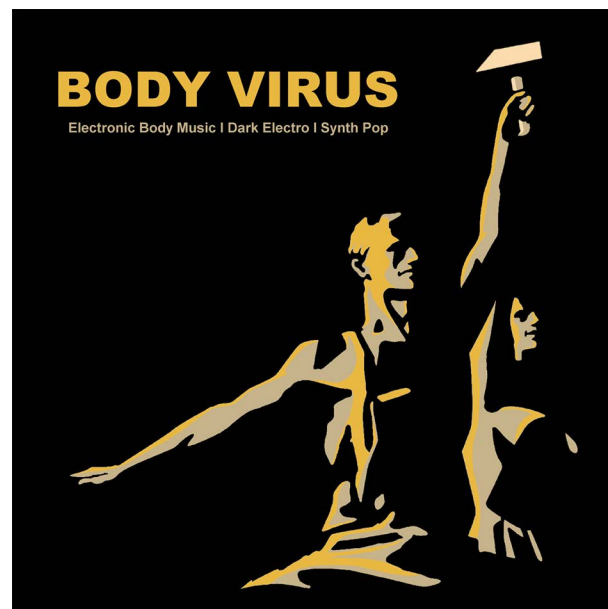
Trudno oceniać wartość muzyczną płyty. Jest ona naznaczona charyzmą Włodka Kiniorskiego, jego szaleńczym saksofonem, skłonnością do czerpania z muzyki reggae i samplingu. Bezsprzecznie kompozycje Kiniorskiego stanowią tu jedynie wsparcie dla zaistnienia tekstu poetyckiego. I na tej właśnie jakości oprócz należałoby sens powstania tej płyty. Śpiewających aktorek w Polsce nie brakuje. Krystyna Janda, Stanisława Celińska, Olga Bończyk, długo by wymieniać. Co jednak różni Szapołowską od innych to właśnie odwaga w konfesyjności prezentowanych tekstów i sygnalizowanym już przeze mnie tamaniu stereotypu: oto silna, piękna, niezależna, adorowana przez rzeszę mężczyzn kobieta jest w swoim pięknie samotna. Szapołowska nie tylko w tytule płyty, ale każdą znajdującą się tu piosenką mówi do słuchającego-adresata: „Kochaj mnie”. I te szepty o miłość stanowią o jej odwadze. Odwadze zauważenia kobiety, która pomimo swojej autonomiczności, siły i piękna – łaknie miłości i akceptacji. Bo piękno, jest równie samotne jak śmierć.

Adorowana przez rzeszę mężczyzn kobieta jest w swoim pięknie samotna.

Long live EBM

Łukasz Szaruga

„Robotnik i kołchoźnica”, rzeźba radzieckiej artystki Wierij Muchiny przedstawia nieustraszone, dumnie wyprężone postaci kobiety i mężczyzny, wznoszące narzędzia służące im w mozolnej, doczesnej pracy – sierp i młot. To jeden z pojemniejszych, socrealistycznych symboli włączonych w wizerunek twórców wywodzących się z kręgu martial industrial czy neofolk. Wśród wykonawców z lubością strojących się w zgrzebne, militarne uniformy na tle górującego nad Moskwą giganta, fotografowali się chociażby Austriacy z Der Blutharsch. Teraz ozdobił on okładkę nowego wydawnictwa niemieckiej oficyny Body Music.



Body Virus, Body Music, 2016

JEŚLI KTOŚ SPODZIEWA SIĘ usłyszeć tutaj wzniosłe, neofolkowe ballady, może się spotkać z zawodem. Body Virus bowiem to szczególny konglomerat brzmieniowy. Nad doborem utworów pieczę sprawowali bowiem Claus Larsen, legenda electro-industrialu szerzący grozę pod szyldem Leaether Strip oraz niejaki Freund 424. Działalności ich wydawnictwa, które przedstawiło do tej pory światu „tribute albumy” z interpretacjami utworów Front 242, Psyche czy wspomnianego już Leaether Strip oraz szereg składanek, przyświeca twarda dewiza – gardzimy etykietami typu cybertech, aggrotech, techno body music. Z cieplejszym przyjęciem za to spotykają się wykonawcy należący do kręgów EBM, dark electro czy future pop oraz synth pop.

Przytłaczająca ilość utworów, jak przystało na składankę, rzuca światło na gatunkowe imperatywy oficyny – wybrzmiewa z niej lubość, z jaką większość zebranych wykonawców zwraca się ku pionierom dźwiękowej estetyki Electro Body Music, wzdychając zapewne z rozrzewnieniem za epoką, gdy ukazywały się pomnikowe albumy Nitzer Ebb, Front 242 czy Deutsche Amerikanische Freundschaft – substancja ducha tych artystów, bowiem najczęściej wyczuwalna jest w kompozycjach. Na tym kamieniu węgielnym tkają więc swoje dźwięki Euforic Existence ze skandowanym, „frontowym” „Do You Tolerate”, mocarny „Diskojugend” czy do szpiku przeniknięty wręcz nitzer-ebbową motoryką „Der Stiefel” Transpondera. „Ravens Heart” Synthetic Blast śmiało można by włączyć za to do repertuaru Combichrist, gdyby Andy LaPlegua

z kompanią zachował, co nieco z charakteru macierzystego Icon Of Coil i nie oddał się tworzeniu prząsnej, industrial-rockowej popeliny.

„Body Virus” stanowi świadectwo nieuchronności etykietowania. Tam, gdzie bowiem sytuuje się Formato Negativo z kompozycją „Requiem”, czyli na przesiąkniętej fascynacją śmiercią meksykańskiej ziemi (nieodparte bowiem pojawiają się skojarzenia z duetem Amduscia), rzucić można również Droid Sector Decay, wściekły, obskurny, mający nieco z atmosfery najstarszych kompozycji innych twórców z Meksyku, luminażary dark electro z Hocico.

Z powolnie kroczącymi, gdzie indziej rozpętanymi gniewem kompozycjami, kontrastują nieco bardziej nastrojowe dźwięki – zgrabny, rozmarzony future-popowy „Heaven” od Electro Fear czy synth-popowo cikliwy Crimson Boy. Takie momenty chronią przed wrażeniem topornej ociężałości, jakie chwilami może towarzyszyć. Dewizie swej wytwórni Larsen i Freund 242 sprzeniewierzają się nieco, zamieszczając na składance potworka w postaci utworu „D-MN” Technomancer w wersji klubowej. Śmiało można sobie go podarować.

Przy tej dawce rytmów bliskich sercom założycieli oficyny Body Music, Aleksiej Stachanow wyrzekłby się swego partyjnie legitymizowanego powołania, wstuchując się w wybrzmiewający z EBM-owych temp zachwyty epigonów, z nieprzemijającym uwielbieniem bijących pokłony przed swymi patronami. Zarówno Electronic Body Music posiada swe niezachwiane niekruszące pomniki, jak i majestatyczne pozostałości socrealizmu.

Z powolnie kroczącymi, gdzie indziej rozpętanymi gniewem kompozycjami, kontrastują nieco bardziej nastrojowe dźwięki.

Ro(c)k nie tylko instrumentalny

Mirostaw Krzysztofek

Podsumowanie 2016. Pięć płyt. Pięć klimatów. Subiektywizm. Trochę refleksji. Kolejność przypadkowa lub nie. Podobno nie ma przypadków.

... doskonały album ... po spożyciu zupy grzybowej ... jazda dla wytrwałych ... udało się to zrobić ... najlepsza metalowa tegoroczna płyta ...



I. STICK MEN „PROG NOIR”

O TEJ PŁYCIE PISAŁEM w ostatnim numerze „Projektora” z roku 2016. Peten pomysłów, świetnie zrealizowany, doskonały album. Jest na nim wszystko to, czego brakuje w obecnym wcieleniu King Crimson. Gorąco polecam.



II. WOLF PEOPLE „RUINS”

PANOWIE Z WIELKIEJ BRYTANII dobrze znają tradycje muzyczne swojego kraju. Te współczesne oraz dawne, związane z muzyką folkową. Co słyszeć na tej, najlepszej do tej pory, dla mnie, płycie tego kwartetu. Chwilami nawiązuje brzmieniowo do wczesnych dokonań

Black Sabbath z pierwszej płyty tego zespołu. I na przykład Jethro Tull. Z drugiej strony Fairport Convention i Steeleye Span, to również dość oczywiste inspiracje. A kapitalny utwór „Kingfisher” przypomina folkowe The Handsom Family tyle, że po spożyciu zupy grzybowej, niekoniecznie sporządzonej z grzybów dopuszczonych do obrotu handlowego. Zastąpione miejsce na mojej subiektywnej liście ulubionych ubiegłorocznych płyt.



III. SEVEN IMPALE „CONTRAPASSO”

PEŁNOWYMIAROWY DEBIUT TEGO zespołu „City of the Sun” z 2014 roku był objawieniem na skandynawskiej scenie muzycznej. Progresywny rock z domieszką nowofalowego szaleństwa, muzyki fusion i jazzu był jednym z fajniejszych krążków, które się wtedy ukazały. Przez jakiś czas było o grupie cicho, a sądząc z długości najnowszego albumu, zespół dużo pracował w studiu. Brzmienie jest potężniejsze, a kompozycje dojrzalsze. Całość materiału ma większego kopa niż debiut. To jazda dla wytrwałych, bo blisko siedemdziesięciominutowa dawka skomplikowanej muzyki niektórym może wydać się nie do przetrwania. Dla mnie przykład, że dosyć tradycyjne instrumentarium, poparte saksofonem i analogowo brzmiącymi syntezatorami może brzmieć świeżo i nowatorsko. Przyjemna muzyczna przygoda, piękna płyta. Skandynawia rządzi!



IV. GONG „REJOICE! I'M DEAD!”

CZAS. NIEUBŁAGANY WERYFIKATOR. W 2015 roku odszedł założyciel Gong i Soft Machine Daevid Allen. Dla wielu zespołów śmierć wieloletniego lidera i dobrego ducha jest często końcem działalności. Grupa Gong, istniejąca od niemal pół wieku, parę razy w swojej bogatej historii grała, wydawała płyty i istniała bez udziału Allena. Nie jest to żaden problem. Zastanawiałem się, czy zespół w składzie, w którym obecnie gra, jest w stanie zmierzyć się z legendą i nagrać dobrą płytę. Moim zdaniem udało się to zrobić. I stąd obecność tego krążka wśród najlepszych płyt 2016 roku. ■



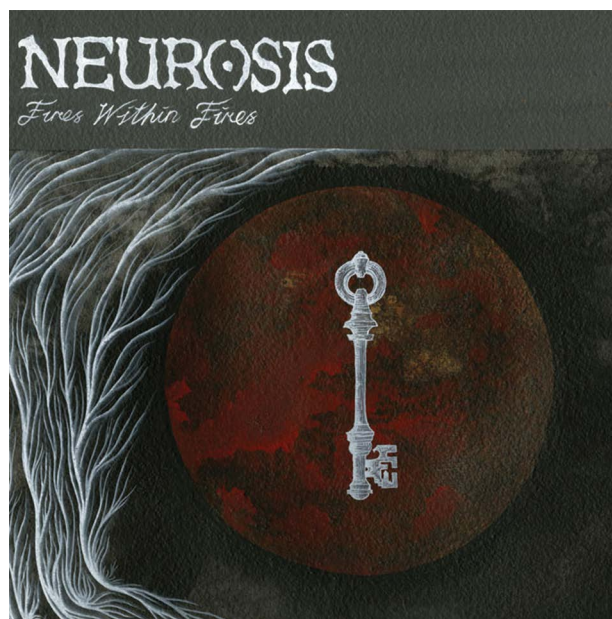
V. NEUROSIS „FIRES WITHIN FIRES”

DŁUGO PRZEKONYWAŁEM SIĘ do tego zespołu. Nie, żebym nie lubił tego rodzaju klimatów, bo od lat słucham na przykład Swans i ciężiej grających grup w rodzaju Meshuggah. Jakoś mi nie pasowała ta mroczna i ultra ciężka muzyka Neurosis. Znałem właściwie tylko ich pojedyncze utwory i kultową kolaborację z Jarboe, z 2003 roku, była członkinią wspomnianego wcześniej Swans. Łagodnie mówiąc ta właśnie płyta, została znienawidzona przez najbardziej ortodoksyjnych fanów zespołu. Jaki jest najnowszy album Neurosis? Według mnie to najlepsza metalowa tegoroczna płyta. Mocna, mroczna, przemyślana, klimatyczna, chwilami eksperymentalna. Czyli metal idealny. I o to chodzi.

No i wracam do punktu wyjścia. Jaki był 2016 rok w muzyce? Na pewno był to rok wielu bolesnych strat. Odeszło paru ludzi, których ceniłem. Na twórczości niektórych się wychowałem. Wśród nich Greg Lake. Jeden z największych. Paradoksalnie o tym odejściu było jakby najciszej. No cóż. Nie śpiewał piosenek zarzynanych na skomputeryzowanych playlistach czegoś, co niektórzy, zapewne dla żartu, nazywają radiem. Dla mnie był i pozostanie jednym z największych wokalistów, autorów piosenek, muzyków, którzy ukształtowali mój gust.

Za największe wydarzenie koncertowe uważam trasę reaktywowanego King Crimson, która objęła również Polskę. Największe rozczarowanie: Kłopoty organizacyjne, odwołanie paru koncertów na katowickim „Off Festiwalu”.

Poza tym to był dobry rok. Przynajmniej w muzyce. Oby 2017 nie był gorszy. ■



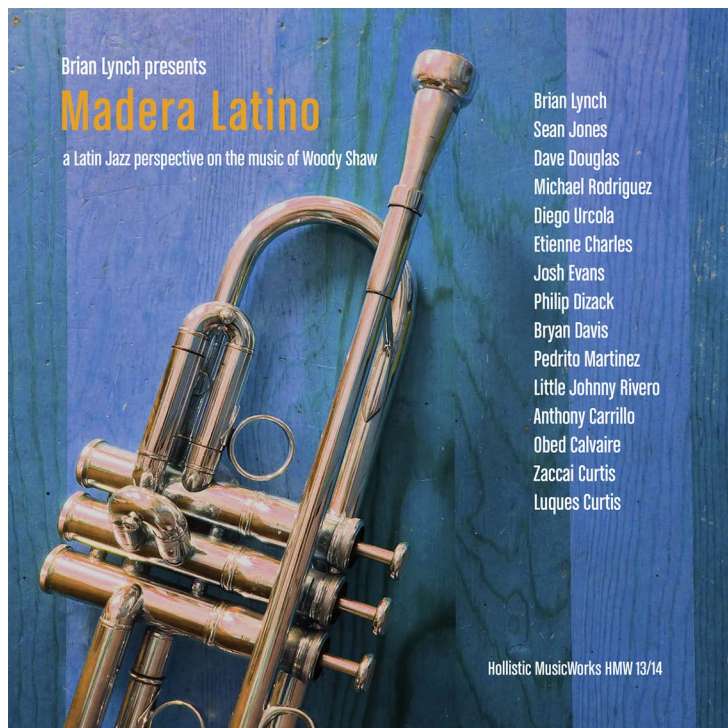
Do-It-Yourself Project

Łukasz Rakalski

Kompozycje zyskały ciekawe spektrum kolorów w zupełnie nowym instrumentarium.



Cztery lata to całkiem sporo czasu, jeśli okres ten przeznaczyć na produkcję albumu, w szczególności jazzowego. Mam wrażenie, że w przypadku najnowszego dzieła Briana Lyncha „Madera Latino: A Latin Jazz Interpretation on the Music of Woody Shaw” jest to zupełnie uzasadnione. Zaledwie kilka taktów intrygującej muzyki na wstępie wzbudziło we mnie przecucie, że album w znacznym stopniu przypadnie mi do gustu.



Brian Lynch, *Madera Latino: A Latin Jazz Interpretation on the Music of Woody Shaw*, Hollistic MusicWorks, 2016

TYTUŁ MÓWI SAM ZA SIEBIE. Jest to eksploracja twórczości Woody'iego Shawa przez pryzmat autentycznych, afro-kubańskich rytmów, w aranżacji Briana Lyncha. Nie zabrakło tu takich perłek, jak „In Capricornian Way”, „Tomorrow's Destiny”, czy „Sweet Love of Mine”. Kompozycje zyskały ciekawe spektrum kolorów w zupełnie nowym instrumentarium. W składzie zespołu znalazło się czterech perkusistów: Anthony Carrillo, Obed Calvaire, Pedrito Martinez, Little Johnny Rivero. Warto wspomnieć, że ostatni dwaj panowie wraz z basistą Luquesem Curtisem towarzyszyli już wcześniej Lynchowi w projekcie „Simpático”, który otrzymał nagrodę Grammy w 2006 roku. Na fortepianie zagrał Zaccai Curtis.

Brian należy do grona artystów, którzy lubią brać sprawy we własne ręce. „Madera Latino” ukazał się pod szyldem niezależnej wytwórni, która należy do niego. Ciekawostką jest też fakt, że został częściowo sfinansowany przez nabierający popularności „crowdfunding”, czyli sposób na finansowanie projektu przez zbiórkę drobnych wpłat od wielu osób. Nie przeszkodziło to w tym, by do współpracy przy interpretacji tematów jednego z najbardziej wpływowych instrumentalistów zaprosić do pomocy siedmiu niezwykle utalentowanych trębaczy (Sean Jones, Dave Douglas, Diego Urcola, Michael Rodriguez, Etienne Charles, Josh Evans, Phillip Dizack). W tym zestawieniu koncepcja łączenia muzyki Shawa z afro-kubańskim rytmem (tzw. clave) wydaje się bardzo naturalna.

Nie sposób nie wspomnieć również o znakomitych aranżacjach utworów. Bez wątpienia ten element wpłynął na to, że album permanentnie przykuwa uwagę, mimo iż jego całkowity czas trwania sięga prawie dwóch godzin. Mnogość pomysłów oraz intrygujące zmiany rytmu powodują, że proste, wpadające w ucho melodie brzmią bardzo atrakcyjnie. Moją uwagę szczególnie zwróciła enigmatyczna interpretacja tematu utworu „Joshua C.”, dzięki której wszechobecne brzmienie trąbki pozostaje całkiem „świeże”. Rozbudowane solo instrumentów perkusyjnych w „Blues for Woody and Khalid” również zachwyca determinacją i precyzją wykonania. „Madera Latino Suite” to jedyna kompozycja autorska Lyncha na krążku. Jej rozbudowana forma stanowi epilog o dość osobistym wymiarze.

Madera Latino został nominowany do nagrody Grammy w kategorii „Najlepszy album latynosko jazzowy” („Best Latin Jazz Album”). Jego autor dumnie stwierdził, iż jest przekonany o tym, że złoty gramofon trafi w jego ręce. Po przesłuchaniu krążka w moim przekonaniu także jest to bardzo prawdopodobne. ■

Agata Orłowska

Przyjdzie gender i nas zje

Maciej Duda
Dogmat płci. Polska wojna z gender
628 s. ; 20 cm
Gdańsk : Wydawnictwo Naukowe Katedra, 2016
305(438)

Rok 2016 uznać można za rok praw kobiet. Odpowiedzialne są za to wstrząsające wiadomości i nieprzewidywalne wydarzenia, takie jak np. pomysł wprowadzenia całkowitego zakazu aborcji oraz idąca za nim nagła reakcja, będąca wyrazem solidarnościowego sprzeciwu nie tylko kobiet, ale i mężczyzn kilku pokoleń. Gdyby publikacja „Dogmat płci. Polska wojna z gender” powstała kilka miesięcy później z pewnością wzbogacona byłaby i o te kwestie sporne.

równość w różnorodności



MACIEJ DUDA, DOKTOR NAUK humanistycznych, wykładowca, badacz, pracownik naukowy Uniwersytetu Szczecińskiego, współredaktor raportu „Gender w podręcznikach”, a także trener antydyskryminacyjny, zabiera nas w długą i emocjonującą podróż po polskim świecie gender, pomiędzy przeciwników i zwolenników „tajemniczego” zjawiska, od tych najbardziej skrajnych pravicowych i feministycznych, po umiarkowane, wyważone „za” i „przeciw”.

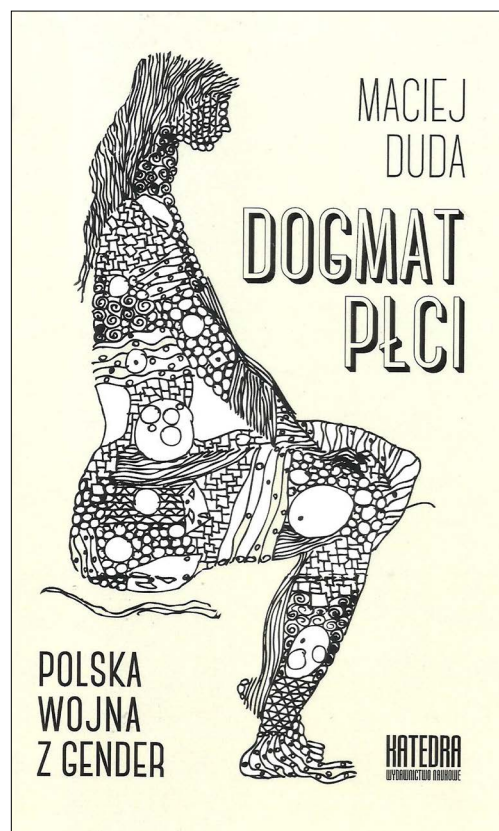
Ponad 600-stronicowa rozprawa to raport głównie z medialnej, ale też publicystycznej i naukowej debaty w sprawie gender, toczącej się w Polsce w latach 2007-2015. Badacz zestawia ze sobą publikacje książkowe, artykuły, programy telewizyjne, wystąpienia, a także listy głów kościoła i wszelkiego rodzaju komentarze wygłaszane w przestrzeni publicznej. Punktem wyjścia czyni tu pojawienie się poradnika „Równościowe przedszkole” i edukacji antydyskryminacyjnej, będących przyczyną wszczęcia batalii o „dobro dzieci i polskiego narodu”, przypadającej na lata 2013-2014.

Duda zwraca uwagę na nadużycia i brak często elementarnej wiedzy na temat zjawiska gender wśród antygenderystów. Poczawszy od nieznamienia samej definicji, nagminnego etykietowania czy wydawania krzywdzących i obraźliwych sądów, skończywszy na oskarżeniach o indoktrynację. Podaje przykłady, źródła, cytaty, w których ideę gender, znosząc hierarchiczną

zależność, hołdującą równości w różnorodności rozumie się jako „ideologię gender” (zestawienie celowo ma budzić skojarzenia z systemami totalitarnymi), straszącą pogwałceniem rodziny, dzieci i cywilizacji – chęcią ujednolicenia członków społeczeństwa, „przymusową zmianą płci” i „ogólnym zezwierzęceniem”. Ukazuje, jak w imię „wyższych wartości”, łatwo nadać sobie prawo do odbierania praw innym.

Autor „Dogmatu...” udowadnia krok po kroku nieścisłość i pseudonaukowość rozpatrywanych tekstów czy wypowiedzi, którym nierzadko brak bibliografii czy wiarygodnych statystyk, gdzie opinię o feministycznej klasycy wystawia się bez znajomości jej treści. Przytacza jednak i takie przykłady (czasopisma katolickie „Tygodnik Powszechny”, „Znak”, „Więź”), w których krytyczna polemika może się odbywać z poszanowaniem zasad merytorycznego dyskursu, bez użycia zbędnego „oręża”, ukazując jak nieoczywista bywa granica ideowa pomiędzy stroną anty- i progenderową.

Choć celem publikacji ma być ukazanie różnic i podobieństw obu stanowisk, trudno nie odnieść wrażenia, że autor porzuca obietnicę bezstronności. Nic w tym dziwnego. Ironia trenera antydyskryminacyjnego niejednokrotnie wydaje się jak najbardziej na miejscu w zetknięciu z tak potężną falą irracjonalnego lęku przed utratą męskości i pseudonaukowego absurdu, godzącego często w fundamentalne prawa jednostki. ■



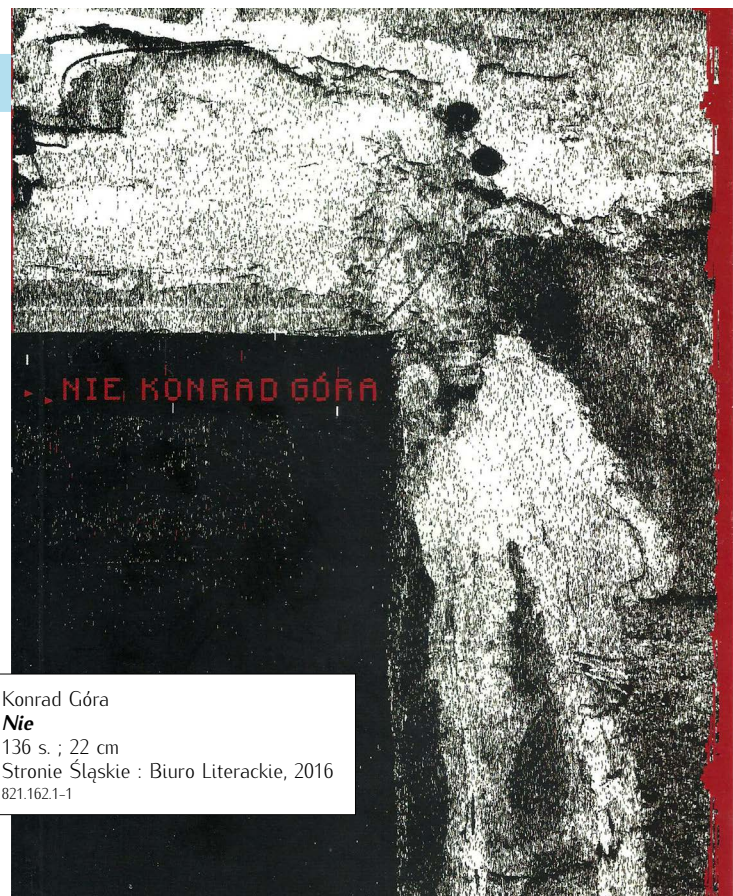
**Być może poeta chce poświęcić
swoje poetyckie frazy ludziom, którzy
są inni od większości, od naszego
społeczeństwa, a może od poety...**



smutku, a może nawet rozpacz, po utracie jednej istoty, czego stopniowo doświadcza cały przedstawiony świat przywoływanych postaci. Czyżby ta historia zapowiadała treść „Nie”? Może się wydawać, że okładka, jak i motto, sugerują, że podmiot liryczny będzie przeżywał czyjąś śmierć albo chce zwrócić uwagę na kwestię przemijania.

Sprawdzam, czy udało mi się wytropić sens poetyckiego tomiku Konrada Góry. Czytając kolejne strony, wydaje mi się, że podmiot liryczny igra z czytelnikiem. Cały tomik składa się z krótkich dwuwierszy, z których każdy oznaczono cyfrą. Nie zachowano tutaj jednak kolejności. Każdy następujący dwuwiersz poprzedzono oznaczeniem w postaci cyfry „1”. Niektóre z tych niewielkich utworów lirycznych tworzą wspólną całość. Inne pozostają odrębnymi jednostkami. Pojawia się tutaj dość zróżnicowane wątki czy tematy. Podmiot liryczny przywołuje pojedyncze słowa lub krótkie zdania, które mają reprezentować zróżnicowanie społeczno-kulturowe współczesnego świata. Może to też obrazować ludzkie myśli, które z minuty na minutę potrafią przemierzać kolejne, odległe niekiedy od siebie, tematy. Coś jednak tutaj dominuje. Być może dostrzegam to dzięki wcześniejszemu ukierunkowaniu interpretacyjnemu. W dwuwierszach pojawia się motyw śmierci i cierpienia, co widać chociażby w tych słowach: *ponad krtań/ westchnienia; Chwycenie utraty/ po skórze i włosach; plon mnożony/ zyskiem truciciela.*

Wciąż jednak nie wiem, czy poeta chce tymi słowami powiedzieć więcej niż to, co udaje się wyczytać z jego tomiku. Odpowiedź znajduję w „Próbie wyjaśnienia”. Okazuje się, że „Nie” ma złożyć hołd osobom, które zginęły w wyniku zawalenia się wielokondygnacyjnego kompleksu budynków w 2013 r. na przedmieściach Dhaki. Poeta wyjaśnia też, że tytuł tomiku odnosi się do jednej z form zaimka „one”. Dla mnie jednak tytuł można interpretować jako partykułę, która ma wyrażać sprzeciw wobec bezsensownej śmierci i obojętności na tragedię drugiego człowieka. Tak też odbieram cały tomik poetycki Góry, do którego lektury zachęcam. Uprzedzam jednak, że trzeba przygotować się intelektualnej pracy. Ale warto!



Konrad Góra
Nie
136 s. ; 22 cm
Stronie Śląskie : Biuro Literackie, 2016
821.1621-1

Jak trudno odkryć sens...

Dominik Borowski

Jest zimowy wieczór. Z ciepłą herbatą siadam do lektury książki. Jest nią tomik poetycki Konrada Góry zatytułowany „Nie”. Uwagę przyciąga już sama jego okładka. Wydaje się ona być wyrwanym fragmentem jakiejś większej całości. Jak się później okaże, to będzie ważny trop interpretacyjny. Ilustracja pozostaje w tonacji biało-czarnej z wyraźną dominacją tej drugiej barwy. Budzi to we mnie jednoznaczne skojarzenia. Pesymizm. Śmierć. Koniec. Klęska. To dopiero początek przygody z tomikiem poetyckim.

ZACZYNAM CZYTANIE. I już na początek moją uwagę przyciąga lakoniczna dedykacja: *Nikomu, innemu.* Właściwie adresat pozostaje niesprecyzowany, choć drugie użyte określenie wskazuje jakiś kierunek. Być może poeta chce poświęcić swoje poetyckie frazy ludziom, którzy są *inni* od większości, od naszego społeczeństwa, a może od poety...

Tuż po dedykacji Góra zamieszcza motto do swojego tomiku. Zdziwienie budzi jego objętość (zajmuje prawie półtorej strony). Przywołany cytat jest fragmentem ludowej powiastki. Opowiada ona o przeżywaniu

To poetycki obraz „Pokolenia 68”
ukazany przez twórcę w kategoriach
politycznych, etycznych
i metafizycznych.

RYSZARD KRYNICKI POZOSTAJE jednym z najwybitniejszych współczesnych polskich poetów. To między innymi laureat Nagrody Fundacji im. Kościelskich (1976) oraz Międzynarodowej Nagrody Literackiej im. Zbigniewa Herberta (2015). Choć cechą charakterystyczną jego lirycznej twórczości są obecnie głównie ascetyczne, kilkuwierszowe formy, warto pamiętać, że pierwsze wiersze artysty sytuowały się na przeciwległym biegunie, który zaklasyfikowalibyśmy jednoznacznie jako literacką nadekspresję środków wyrazu. W takiej tonacji został właśnie utrzymany jego debiutancki tom zatytułowany „Pęd pogoni, pęd ucieczki”, na który składa się dziewiętnaście utworów pisarza, poprzedzonych jego oryginalnym wstępem. Niniejszy zbiór został też wzbogacony o abstrakcyjne, bez mała surrealistyczne rysunki Andrzeja Bereźniańskiego (1939–1999). Całość zamyka zaś tu „Postscriptum 2016” Krynickiego pełne aktualnych przemyśleń poetyckich twórcy.

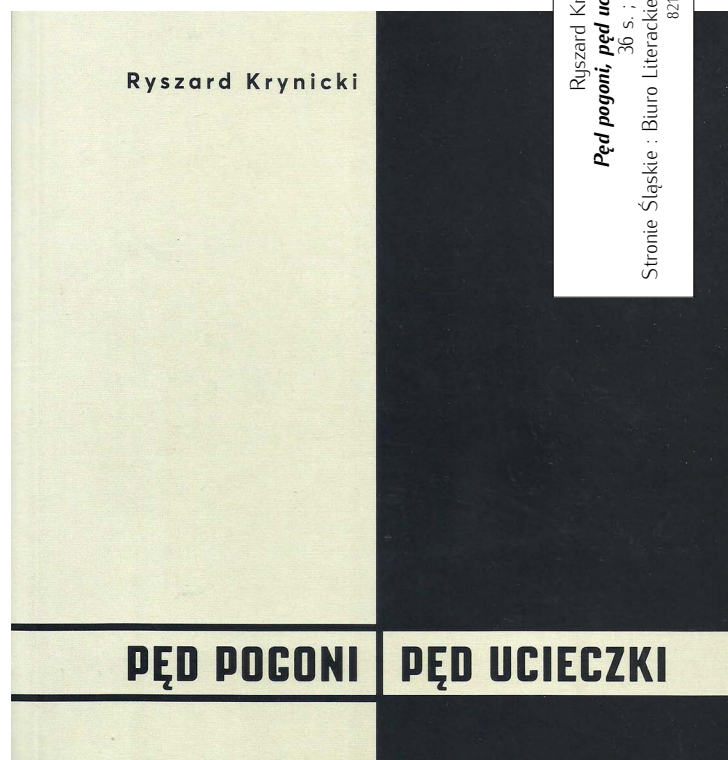
W pozbawionym cenzorskich zabiegów zbiorze Krynickiego pojawiły się wreszcie między innymi jego dwa ważne – wcześniej w nim nieobecne – teksty: „Akt urodzenia” oraz wiersz bez tytułu rozpoczynający się od słów *palić nie wolno...* Odnajdziemy tutaj również najwcześniejszą wersję intrygującego liryka poety „Jednogośnię, jednoręcznie”. Dzięki tym odautorskim korektom jeszcze pełniej wybrzmiewa w zbiorze pisarza jego tytułowy wiersz „Pęd ucieczki, pęd pogoni”. Artysta konfrontuje nas w nim bowiem przede wszystkim z zakłamaną rzeczywistością minionej epoki. To utwór, w którym bohater liryczny – w jakimś sensie *porte-parole* Krynickiego – zмага się z przemożną chęcią wydostania się z absurdałnych uwarunkowań czasów, w jakim przyszło mu żyć: (...) *uciekasz; pęd ucieczki, zbieg z obozu krwi; póki kratał z tym pejzażem, w którym chcesz odrosnąć od ziemi (pęd/ ucieczki) nie zostanie/ nagle wydarta albo zatarta przez deszcz i zarośla deszczu/ zagłuszą zarośla twej krwi (...)*. Prezentowany tu obraz świata jest więc bardzo pesymistyczny.

Wiersze zawarte w tomie „Pęd pogoni, pęd ucieczki” znamionuje – zdaniem jego autora – *bezwstyd zwierzenia*. Artysta dołącza tu bowiem do

Pęd bez cenzury

Wśród wielu księgarskich nowości roku 2016 warto zwrócić szczególną uwagę na pewien wydawniczy rarytas – pierwszą książkę Ryszarda Krynickiego „Pęd pogoni, pęd ucieczki” (1968) opublikowaną całkowicie bez cenzorskich ingerencji. Wznowiony po niemal półwieczu przez „Biuro Literackie” tom pisarza to prawdziwy prezent gwiazdkowy dla wszystkich fanów jego twórczości, wyrosłej jeszcze z rodzimej formacji poetyckiej określanej mianem „Nowej Fali”.

Michał Siedlecki



grona – wyzbytych codziennej pewności i wiary – poetów poddających nieustannie w wątpliwość totalitarną ideologię oraz zakłamaną nowomowę Polski doby gomutkowskiej. To poetycki obraz „Pokolenia 68” ukazany przez twórcę w kategoriach politycznych, etycznych i metafizycznych. Lektura obowiązkowa dla wszystkich.

Gdy przyśni się dom



Krystyna Alicja Jezierska

związek prawdziwej
rzeczywistości i jej
literackiej emanacji

Krystyna Alicja Jezierska

Gdy przyśni się dom

249 s. ; 21 cm

Nowa Ruda : Mamiko Apolonia Maliszewska, 2016

821.162.1-3

Powrót do krainy szczęścia

Powiem szczerze, że rzadko na łamach „Projektora” kreślę słowa krytyki pod adresem utworów beletrystycznych, jako że od tychże utworów specjalistą pierwszej wody jest naczelny. Jednakowoż raz na jakiś czas wpada mi w ręce książka, którą – z różnych przyczyn (nie kryję, że najczęściej z powodu „filmowości” danej lektury) – chciałbym przedstawić szanownym czytelnikom.

Piotr Kłętowski

AUTOBIOGRAFICZNA POWIEŚĆ „Gdy przyśni się dom”, Krystyny Alicji Jezierskiej to przykład prozy głęboko osobistej, wyrastającej z własnych doświadczeń, na które nakładają się dodatkowe przeżycia związane z przyswajaniem lekturami, dziełami sztuki, muzyką a nawet filmem. Książka Jezierskiej dzieli się jakby na dwie części. Pierwsza (na swój sposób znakomita) opisuje dzieciństwo autorki w Katowicach (właściwie w Stalinogrodzie), gdzie Lusia (alter ego autorki, choć potraktowane w sposób zaskakujący – o czym za chwilę) przenosi się ze swą matką do bliskiej rodziny, by tam przeżyć trudny czas stalinowskiej nocy. Pobyt w Katowicach nie jest jednak dla bohaterki czasem mrocznym – wprost przeciwnie – dzięki towarzystwu rówieśników, magicznej atmosferze dzieciństwa, a przede wszystkim baśniom Andersena (wydanym z legendarnymi ilustracjami Marcina Szancera) mała Lusia patrzy na świat jakby przez magiczne okulary: dostrzegając rzecz jasna całą szarą otaczającą ją rzeczywistość, ale również budując sobie swój własny, baśniowy świat, w którym np. przedmioty codziennego użytku, jak meble, zabawki, elementy wystroju wnętrz, stają się niezwykłymi rekwizytami, „kluczami” do innej, wspanialszej rzeczywistości.

W tej pierwszej, niezwykle ciekawej części widzimy, między wierszami, jak rodzi się przyszła poetka, pisarka – rodzi się właśnie poprzez odkrywanie swej własnej, wewnętrznej wrażliwości, każącej jej widzieć świat we własnych, oryginalnych proporcjach. Każdy rozdział „części dziecięcej” kończy cytat z „Boskiej komedii” Dantego, jakby autorka, niczym legendarny autor, chciała zaznaczyć, że właśnie dla niej okres dzieciństwa był tym słynnym „Czarnym Borem”, przez który przechodził poeta w drodze ku swej literackiej dojrzałości.

Część druga, ukazująca życie bohaterki już po wyjeździe z Katowic, choć równie ciekawa, nieco odstaje od znakomitej części pierwszej, zamieniając się przede wszystkim w opis ciągu obyczajowych perypetií Lusi, które są (w przeciwieństwie do okresu dziecięcego, gdzie kształtował się jej artystyczny zmysł) zapisem jej kształtowania się jako osoby układającej swe relacje ze światem zewnętrznym, z ludźmi obcymi, stającymi się jednak dla niej (poprzez uczucia) ludźmi bliskimi. Tu również życiu bohaterki towarzyszy literatura – ale już inna: czarodziejskie opowieści Andersena zamieniają się miejscami z krwawą literaturą Babla i jego opowieściami z czasów wojny domowej i wojny 1920 r., odstawiającymi brutalność i okrucieństwo ludzi i świata (tak jakby sama autorka przechodziła ze świata rodzinnego „bezpieczeństwa” do świata obcej „niebezpieczności”).

Powieść kończy ciekawa wolta (czyniąca z całości rzecz tym bardziej interesującą). Otóż dostajemy swego rodzaju postowie, w którym autorka przyznaje się do tego, że postać Lusi, jest postacią opartą na jej wspomnieniach, ale też nie całkiem jest to autorka powieści (choć całość kończą zdjęcia właśnie Jezierskiej i jej bliskich). Ten zabieg, w jakiś sposób, ukazuje proces tworzenia się literatury, gdzie głębokie „ja” autorki zostaje uzupełnione o świat fikcji literackiej konieczności uzupełniającej „puste miejsca” w pamięci pisarki, ale dzięki temu wzbogacające całość elementem literackim, czy wręcz poetyckim. Mamy więc do czynienia z chwytem niezwykle filmowym, swego rodzaju „odwróceniem kamery” (jak choćby w zakończeniu „Cwału” Zannussiego, filmu również autobiograficznego z elementem fikcji), uzmysławiającym nam jądro książki, jakim jest związek prawdziwej rzeczywistości i jej literackiej emanacji. Bardzo ciekawa książka Jezierskiej – jej powieściopisarski debiut – nie unika rzecz jasna błędów (charakterystycznych właśnie dla powieściowych debiutów) – jak choćby nadmiernej drobiazgowości w opisach ludzi i rzeczy – jednakże całość stanowi niezwykle przykładowy przykład autobiograficznej literatury, odważnie przekraczającej ograniczenia tej literackiej konwencji. ■



Aleksandra Hachuła

EKS LIBRIS ZOSTAŁ PRZEDSTAWIONY w nowej cyfrowej odsłonie na wystawie w Galerii Uniwersyteckiej przy Bibliotece UJK.

Pokazywane prace to przede wszystkim wynik działań artystów z Uniwersytetu Śląskiego związanych z Pracownią Ekslibrisu Cyfrowego, kierowaną przez dr hab. Krzysztofa Marka Bąka. Ta niewielka ekspozycja, nie tylko w formacie, ale i w liczbie prezentowanych prac, to próba przybliżenia tej ponad pięćsetletniej dziedziny.

Na wystawie szczególną uwagę zwracają prace Anny Rudnickiej traktujące z niezwykłym humorem i niekonwencjonalnym podejściem ekslibris. Niezwykle oszczędne i przywołujące echa estetyki Japonii dzieła Karoliny Gilewicz – to najmocniejsze strony wystawy. Nie pozbawione uroku prace Bartłomieja Barana, na których ptaki stają się główną inspiracją oraz bajkowe, wpisane w koto realizacje Angeliki Kubicz pokazują jak różnorodne są inspiracje artystów.



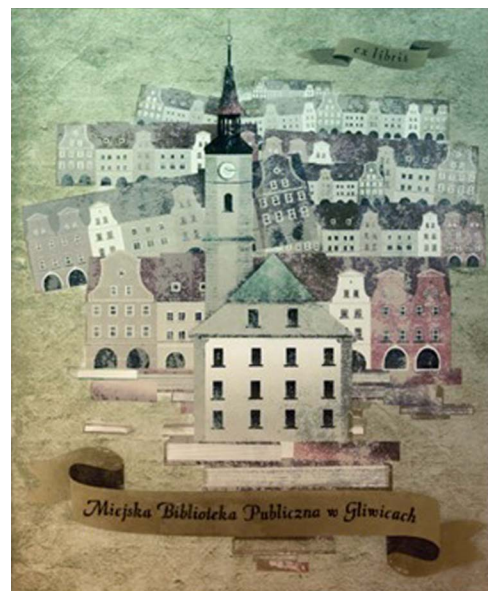
Angelika Kubicz

Izabela Łazarczyk-Kaczmarek

Pracownia ekslibrisu

Księgoznak – artystycznie wykonana miniatura graficzna. Jego obecność, kiedyś oczywista, jako forma dokumentowania kolejnych tomów w księgozbiorach, dziś często zapomniany i nie występujący tak powszechnie jak kiedyś, w sobie przypisanym miejscu – książce, a dokładniej na wewnętrznej stronie przedniej okładziny.

różnorodne inspiracje
artystów



Ewa Chorążak

Na wystawie prezentowane jest również „Dziewięć zasad supereklibrisu” – zasad mających być „drogowskazem” w ich tworzeniu. O ile rady, aby nie tworzyć plagiatów, aby pokazywać własną indywidualność twórczą, spojrzeć szerzej na wykonywaną pracę i w różnych kontekstach jest oczywista chyba dla każdego twórcy, o tyle stwierdzenie, że jest *to konserwatywna grafika dla mądrych odbiorców* jest dość niefortunne... – konserwatywna? czyli niepostępowa, przywiązana do tradycji, niechętna zmianom („Słownik Języka Polskiego”). Chyba nie do końca. Współcześnie, kiedy powstaje ona również na komputerze, nie zaś jak wcześniej przy pomocy np. metalowych tłoków (supereklibris).

Czy to oznacza, że jeśli nie rozumiemy danego ekslibrisu czy po prostu dziedzina ta nie porusza nas do głębi, jesteśmy niedouczeni, aby nie użyć bardziej dosadnych słów...? Kim w takim razie jest mądry odbiorca dla autora tychże zasad? Na to pytanie nie mamy odpowiedzi... przynajmniej nie na wystawie. ■

Adam Organisty

Obraz w obrazie

„Pokój z widokiem” – tak brzmi tytuł wystawy przejmujących prac malarskich Barbary Skąpskiej (1938–2015) w Galerii Współczesnej Sztuki Sakralnej „Dom Praczi” w Kielcach.

Z „WIDOKIEM”, ALE JAKIM? Widz nie odnajdzie tu blichtru uwodzących krajobrazów promowanych przez media. W poetyckim komentarzu do wystawy Jacek

Waltoś określa intymne obrazy Barbary Skąpskiej „małomównymi”¹. Ukazują one fragmenty wnętrza pracowni otwarte na widok zwyczajny, który towarzyszyć

może spoglądaniu z okna, z całą gamą uroków codzienności. Tematyka zredukowana została do wąskiego repertuaru zjawisk, mieszczących się w zasięgu ręki i oka autorki w jej powszednim doświadczeniu. *To ograniczenie zakresu malarzkiej wyobraźni stanowi, jak pisała przed laty Małgorzata Pokorska, świadomą rezygnację z rozległości widzenia, dokonaną na rzecz skupionego drążenia w głąb. Bowiem wybrany przez malarzkę wąski wycinek rzeczywistości staje się dla niej terenem wytrwałych dociekań, zmierzających do odkrycia innej jakości zawartej w zwykłych przedmiotach towarzyszących codziennej egzystencji².*

„Inną jakość” zobaczyć można nie tylko w „widoku”, często niedopowiedzianym. Najczęściej widz ma do czynienia z jego odbiciem w otwartych szybach okien. Właściwie uwaga odbiorcy nakierowana jest na widok tytułowego „pokoju”, w którym niejednokrotnie rozpoznajemy sylwetkę malarki, ukazaną pod postacią cienia. Syntetyczne wizerunki cienia, nawiązujące do ikonografii *materia meditantis*, emanują efektem beczasowości. Przyglądając się obrazom przedstawiającym cień przychodzi na myśl mit jaskini Platona („Państwo”, 517–519), który stanowi podstawę zachodniej teorii poznania. W jaskini tej człowiek może jedynie patrzeć na tylną ścianę swego więzienia, na którą padają cienie nieosiągalnej, zewnętrznej rzeczywistości. Język mitów jest metaforycznym sposobem wyrażania fundamentalnych prawd o człowieku i jego więzi ze światem oraz Bogiem. Posługiwanie się tymi metaforami w sztukach plastycznych było punktem wyjścia dla tłumaczonej na język polski publikacji Victora I. Stoichity. W swojej „Krótkiej historii cienia” przybliżył on poglądy twórcy psychologii głębi, Carla Gustava Junga, i ich wpływ na sztukę. Lęk przed własnym cieniem oznacza, według Junga, pogrążanie się we własnej psychice i zmaganie się ze „stłumionym ja”. Innymi słowy cień, zbiór kompleksów i wypartych energii, jest nie tylko „personifikacją nieświadomości indywidualnej”, na którą składają się przeżycia z dzieciństwa, wspomnienia związków emocjonalnych... Cień jest tu symbolem źródła talentów a także, mówiąc językiem Junga, próbą oswojenia własnego cienia. „Poznaj siebie, spotkasz Boga” – brzmi tytuł książki ks. Jacka Prusaka SJ, która towarzyszyć mogłaby medytacjom nad religijnym wymiarem obrazów Barbary Skąpskiej.

Kolejnym, charakterystycznym motywem pojawiającym się w obrazach

Barbara Skąpska, **ODBICIA**, 1987, akryl, płótno, 73x54 cm



Barbary Skąpskiej jest potrzeba łączenia fragmentów świata zobaczonego bezpośrednio z innymi jego wycinakami, uchwyconymi w postaci odbicia, a nie-raz odbicia odbicia, skomplikowanej gry zwierciadeł. Na pierwszy rzut oka – za-uwaga Pokorska – wydaje się, że Barbara Skąpska maluje jedynie widzialną postać rzeczy – niekiedy z tak skrupulatnym pietyzmem dla ich materialności, iż zdarza się jej nieraz osiągnąć iluzjonistyczny efekt *trompe l'œil*. Z chwilą jednak, gdy raz zostało w odniesieniu do tej sztuki sformułowane pojęcie iluzji, następuje potknięcie w pozornie gładkim i oczywistym toku percepcji tego malarstwa. Bowiem fizyczny kształt przedmiotów w obrazach Barbary Skąpskiej rzadko bywa przedstawiony wprost: widziany często poprzez zastonę lub szybę zamkniętego okna, jeszcze częściej jest ukazany jako cień lub zwierciadlane odbicie w teźże szybie lub w lustrze³.

W obrazach eksponowanych w „Domu Praczek” widzimy lustra odbijające różne, chciałoby się rzec, nieznaczące przedmioty, czasami zaś są to odbicia innych lusterek. Podwójne przedstawianie rzeczywistości stwarza dystans do jednoznaczności rzeczy widzialnych. Obrazy przywodzą na myśl wydźwięk symboliki zawartej w znakomitym filmie „Zwierciadło” (1975) Andrieja Tarkowskiego czy utworze muzycznym „Spiegel im Spiegel” (1978) Arvo Pärta. Kompozycje Skąpskiej mają bowiem charakter szkatułkowy, prowadząc dialog wewnątrztekstowy – to znana badaczom różnych dziedzin sztuki koncepcja „obrazu w obrazie” lub „obrazu o obrazie” (*mise en abyme*). *En abyme* stanowi reduplikację, fragment powtarzający strukturę całości. Jak wiadomo, literaturoznawcy korzenie tego mechanizmu upatrują w heraldyce, w której to odnajdujemy zasadę umieszczania drugiego pola we wnętrzu pierwszego – *en abyme*. Do iluzji otwartego okna oraz lustra, jako wieloznacznej metafory, odwołuje się stanowiący podwaliny dla malarstwa nowożytnego traktat „De pictura” (1435) Leone Battisty Albertiego. W kontekście obrazów Skąpskiej przypomnienia warte są także uwagi związane z koncepcją „fazy lustrzanej” francuskiego psychologa Jacques’a Lacana czy refleksje nad naturą odbicia, spotkania pustych lusterek analizowane przez Sabine Melchior-Bonnet („Narzędzie magii. Historia lusterek i zwierciadeł”).

Barbara Skąpska udowadnia, że to, co osobiste i przeżyte – jak podkreślał przed laty Stanisław Primus – nabiera

równocześnie wartości symbolu, obrasta znaczeniami⁴.

W ciągu całej twórczości konsekwentnie podejmowała się ona kilku wskazanych tu motywów, stawiając podstawowe pytania egzystencjalne. Wyrastały one z osobistych, trudnych doświadczeń, o których wspomina w jednym z udzielonych wywiadów⁵. Repertuar oszczędnych środków malarskich, przewrotnie sprawiających wrażenie naiwności wyrazu, bliski jest obrazom malarzy intymistów przełomu wieków XIX i XX, celowo zmierzającym ku tendencjom prymitywizującym. Chłód i dystans, statyczność płócien Skąpskiej przypomina wnętrza malowane przez Félix’a Vallatona (1865–1925) oraz atmosferę obrazów Vilhema Hammershøia (1864–1916), które tak bardzo zachwycały Rainera Marię Rilkego, że poeta starał się bezskutecznie z nim spotkać, aby poznać miejsce zamieszkania malarza. Realizm Skąpskiej, przydający efekt „wyobcowania” (*Verfremdungseffekt*), bliski jest także obrazom Edwarda Hoppera (1882–1967). Malarka jednak skłania odbiorcę do rozpoznania emocji osamotnienia nie podejmując się wyobrażenia wizerunku człowieka. Genezę zaś dla wyrazistości okonturowania wprowadzanych przez nią symboli widzieć należy w obrazach „Skrzypek w oknie” Henri’ego Matisse’a (1918, Centre Pompidou) czy w kompozycjach „Cień” Pabla Picassa (29 XII 1953, Musée Picasso).

Barbara Skąpska brała udział w debiutanckiej oraz w ostatniej wystawie Grupy Wprost (1966–1986) oraz pokazach krakowskiej Grupy Collegium, którą współtworzyła z Andrzejem Łukaszczyńskim (ur. 1939) i Stanisławem Rodzińskim (ur. 1940)⁶. Jej twórczość jest dowodem żywotności wciąż odradzających się w krakowskiej plastyce tendencji egzystencjalnych, symbolicznych, których korzenie tkwią w doświadczeniach polskiego modernizmu⁷. „Dom Praczek” daje wyjątkową możliwość przyjrzenia się twórczości jednej z najciekawszych artystek najnowszej historii sztuki polskiej. Jej dzieła prezentowane były w roku 2016 w Galerii Miodowa w Krakowie oraz w Miejskiej Galerii Sztuki w Częstochowie. Wystawa w kieleckiej Galerii to trzeci tego typu pokaz, ujmujący



Barbara Skąpska, **NOC**, z cyklu: Cień, 1982, akryl, płótno, 75x60 cm

szereg dzieł z kilkudziesięciu lat składających się na introwertyczny obraz *œuvre* Barbary Skąpskiej, od wczesnych prac graficznych (linorytów) aż po najstarsze kompozycje malarskie, będące wspomnieniem widoku z okna szpitala. W „Domu Praczek” spotykamy się przede wszystkim z obrazami kładącymi nacisk na „Pokój z widokiem” – jak już napisa- no, „widokiem” wnętrza, w którym malar- ka unika realistycznego przedstawienia postaci na rzecz ucieleśniania cienia. Nie jest on, podobnie jak Platońska idea, tylko pojęciem, myślą, przedstawieniem umysłowym, bytem czysto myślnym, ale przeciwnie – jest bytem, który istnieje bezwzględnie, bytem prawdziwym, skła- niającym odbiorcę do jego dostrzeżenia. Miejmy nadzieję, że nie jest to ostatnia tego rodzaju prezentacja.

¹ Jacek Waltoś, *Cisza obrazów*, [w:] *Barbara Skąpska. Pokój z widokiem. Malarstwo*, folder wystawy, Galeria Współczesnej Sztuki Sakralnej „Dom Praczek” w Kielcach, styczeń – luty 2017, oprac. Agnieszka Orłowska, Kielce 2017.

² Małgorzata Pokorska, [komentarz], [w:] *Barbara Skąpska. Wystawa malarstwa*, folder wystawy, Galeria Gil, Klub Politechniki Krakowskiej, czerwiec 1988, [Kraków 1988].

³ Ibidem. Por.: eadem, *Barbara Skąpska. Rysunki z cykłów: Liście i odbicia*, folder wystawy, Galeria B, PP Desa, Kraków, 27 VI – 19 VII 1986, oprac. Stanisław Primus, [Kraków 1986].

⁴ Stanisław Primus, [komentarz], [w:] *Barbara Skąpska. Malarstwo, grafika, rysunek*, folder wystawy, Galeria Rytm ZDK HiL, Kraków–Nowa Huta, 9–29 listopada 1971, [Kraków 1971].

⁵ Wrośnięcie. Z Barbarą Skąpską rozmawia Grzegorz Bednarski, [w:] *Świat przedstawiony? O grupie „Wprost”*, oprac. Małgorzata Kitowska-Lysiak, Lublin 2006, s. 260–270. Por. Grzegorz Bednarski, [komentarz], [w:] *Barbara Skąpska*, katalog wystawy, Galeria „Krypta u Pijarów”, Kraków 2001, s. 1 nlb.

⁶ Andrzej Łukaszczyński, *Barbara Skąpska*, Stanisław Rodziński. Grupa Collegium, folder wystawy, Galeria Teatralna, Muzeum Historyczne Miasta Krakowa, red. Stanisław Piwowarski, Kraków 2001; *Wprost 1966–1986. Maciej Bieniasz, Zbysław Grzywacz, Barbara Skąpska, Leszek Sobacki*, Jacek Waltoś, red. Anna Król, Jacek Waltoś, Kraków 2016.

⁷ Primus, *op. cit.*

Biennale międzynarodowe – to brzmi dumnie!

Agata Suszczyńska

Od 19 listopada do 31 grudnia, w Galerii Górnej kieleckiego Biura Wystaw Artystycznych można było oglądać pokonkursową wystawę fotografii, w ramach XVII Międzynarodowego Biennale Krajobrazu, zatytułowanego „Definicja Przestrzeni”, zorganizowanego przez BWA Kielce i Związek Polskich Artystów Fotografików Okręg Świętokrzyski.

Robert Boś
„DRUGIE DNO”



Fot. Agata Suszczyńska



Witold Bianga
„PEJZAŻ HORYZONTALNY”

PIĘCIOOSOBOWE JURY OBRADOWAŁO w składzie Tadeusz Rolke – artysta fotografik (ZPAF), prof. Zbigniew Wichłacz (Wydział Operatorski Szkoły Filmowej w Łodzi), Andrzej Zygmuntowicz – wykładowca UW, Stanisława Zacharko-Łagowska – dyrektor BWA w Kielcach oraz Krzysztof Zajac – prezes OŚ ZPAF.

Wyselekcjonowano 93 fotografie z ponad 700 i trzy filmy video. Nagrody i wyróżnienia wręczono 11 autorom. Nagrodę ZPAF dla młodego twórcy otrzymał Dominik Tkaczyk, za fotografię pt. „Harmonia”, przedstawiającą wykadrowany stęp latarni w zestawieniu z rynną, odgródzone poziomo rozświetlonymi liniami betonowych płaszczyzn. Jeden z trzech medali ZPAF powędrował do Moniki Chrabąszcz-Tarkowskiej za pracę „Way”. Jest to kadr zielonej trawy z uciętym po lewej stronie domem, czerwona huśtawka po prawej i horyzont znikający we mgle. Kolejny medal przyznano Katarzynie Piądtowskiej za pracę bez tytułu, na której mały piesek biegnie po betonowym boisku za piłką, nad nim wklejono rysunek Supermana. W tle za siatką widać panoramę miasta. Ostatni medal dostała Anna Marcinkiewicz za zdjęcie pt. „Via Dolorosa”. Modląca się kobieta i betonowa architektura w tle. Brązowy medal Fotoklubu RP zdobył Piotr Kaleta za fotografię ludzi zgromadzonych pod smugami ostrego światła, zatytułowaną „Między niebem a ziemią”. Srebrny medal przyznano Magdalenie Chudzik, za zdjęcie wykonane pod mostem, z tabędziem lecącym nad rzeką i światłem ukośnie przecinającym kompozycję. Złoto – Andrzejowi Gontarzowi za pracę pt. „Mój kawałek nieba”, na której autor wzbiał się na motolotni ponad chmury i uchwycił moment, gdy słońce schowane jest za horyzontem. Nagroda BWA dla filmu video przyznana została Markowi Stańczykowi za montaż pt. „Kolekcjoner pejzażu”. Kolejna refleksja nad mijającym czasem i nad tym, jak zmienia się krajobraz wokół. Nagroda III stopnia Wodociągów Kieleckich przyznana została Annie B. Gregorczyk, za fotomontaż pt. „Archinomie I”. Zestawione w graficzny sposób dwie przestrzenie – miasto i przyroda. Nagrodę II stopnia otrzymał Zbigniew Jarosław Podsiadło za czarno-białe zdjęcie pt. „Sklep Polski”. Wiejska uliczka z sztyldem nad sklepem jak w tytule.

I wreszcie nagroda I stopnia Prezydenta Miasta Kielce powędrowała w ręce Jana Zycha, za fotografię pt. „Lato”. Pochylę się nad nią przez moment i uprzedzę, że dalsza część tekstu jest wyłącznie dla osób zainteresowanych fotografią, którym leży na sercu poziom całego wydarzenia, poziom prac i poziom reprezentowany przez instytucje, która prace wystawia. Dyrektor BWA

o nagrodzonej fotografii pisze, że przedstawia *rozstępczoną przestrzeń nadmorskiej plaży, z żółtym klinem wydm, wyciągniętych w kierunku odległego błękitnego horyzontu, na tle których ostro rysują się barwne grupki wypoczywających ludzi. Emanuje z niej atmosfera spokoju beztróskiego wypoczynku a także wizualne ciepło złota rozgrzanego piasku i zbrzo-wiatych ciat*. Może w drukarni, dodrukowali chmury? Może zabrakło tonerów i błękit horyzontu zamienił się w szaroburą plamę? Opis zdjęcia mija się z jego rzeczywistym wyrazem, tak jak nazwa całego wydarzenia z poziomem konkursu. Fotografia stoi obecnie przed niezwykle trudnym zadaniem, zastanawiam się nawet, czy wykonalnym. Ze względu na to, że to medium stało się tak niezwykle powszechne, a cyfryzacja aparatu uczyniła fotografię technicznie wręcz banalną, zalewają nas zewsząd zdjęcia po prostu wszystkiego.

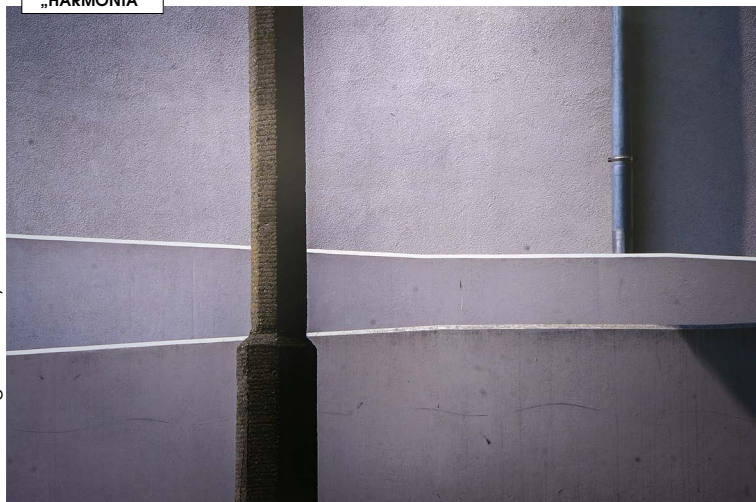
Tak trudno o świeżość, nowatorstwo, odmienne podejście do tematu. Fotoarrafie Arkadiusza Miaśkie-

Nie róbcie już zdjęć zniszczonych, opuszczonych wnętr, staruszek na tle morza, wykadrowanych betonowych budynków, czy chłopców skaczących na tle jakimkolwiek...

wicza, Mateusza Mazura, Jana Jaskóty są stylistycznie tak bliskie, że mogłyby być podpisane jednym nazwiskiem. I jest to styl wszechobecny, co czyni go banalnym. Z całą śmiałością twierdę, że w obrębie spuścizny Kieleckiej Szkoły Krajobrazu nie da się wymyślić nic nowego, co czyni zdjęcia Przemysława Kruka kolejnymi w konwencji, która powinna zostać zamknięta. Bo nawet najsmaczniejszy tort jedzony zbyt często doprowadzi do niestrawności. Zuzanna Banasińska, Krystyna Bondzińska, Artur Czarnecki, Irena Gałuszka, Bogdan Głowacki, Anna Jakubowska, Patrycja Orłowska, Łukasz Resiak, Dagmar Venus, Marek Zakrzewski czy Marek Zambrzycki zaprezentowali fotografie banalne, niektóre technicznie dla mnie wręcz niedopuszczalnie słabe.

Proszę Was, drodzy Fotografowie, darujcie i nie róbcie już zdjęć zniszczonych, opuszczonych wnętr, staruszek na tle morza, wykadrowanych betonowych budynków, czy chłopców skaczących na tle jakimkolwiek... wystarczy! Pomyślcie przez chwilę o odbiorcy i o czasie, który mu wypełniacie, czym go wypełniacie, czy naprawdę warto. O filmach wideo nawet nie napiszę, bo szkoda czasu. A jury? Utytułowane, z dorobkiem (ilościowo) mam nadzieję mniejszym od zwycięzcy, który może się poszczycić liczbą miliona fotografii, jak donosi

Dominik Tkaczyk
„HARMONIA”



Fot. Agata Suszczyńska

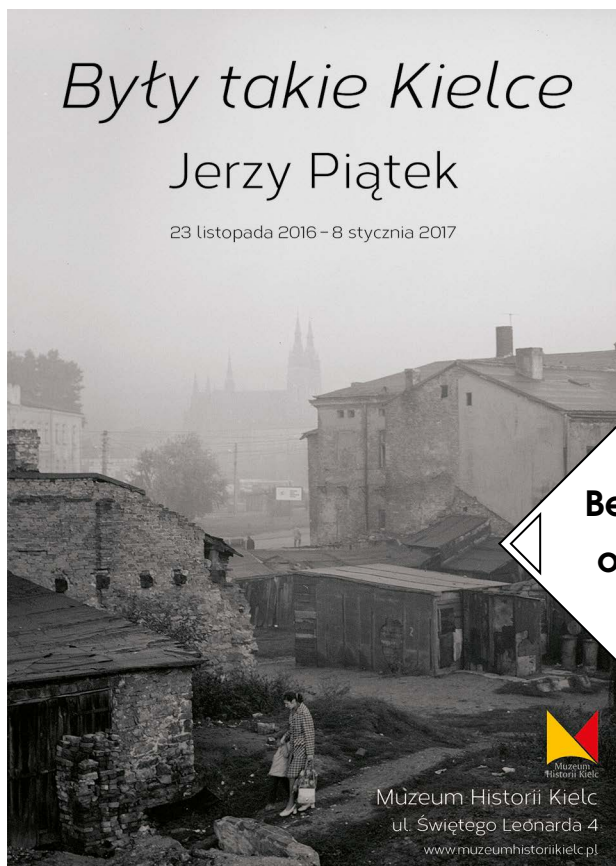


Konrad Szuszkiewicz
„ZEPSUCIE”

Wikipedia. Milion fotografii! Ja nawet nie wiem, czy taką liczbę można nazwać jeszcze płodnością artystyczną czy, jak słusznie zauważył mój przyjaciel, natręctwem. Prof. Zbigniew Wichłacz w katalogowym tekście do wystawy przytoczył cytaty, odzwierciedlające refleksję, towarzyszącą mu podczas wyboru prac – *Chwilami stoję i słucham świata*. I może na tym polegał błąd.

Niezrozumiała jest dla mnie dysproporcja między nazwą wydarzenia, a poziomem wybranych prac, zaprezentowanych na wystawie w szklanych antyramach, co uniemożliwiało jakiegokolwiek przyswojenie sobie większości fotografii. Proszę wyobrazić sobie pracę Aleksandry Iwańczak za szkłem rozświetlonej galerii. Niemożliwe, bezcelowe i bez sensu. I tak podsumowuję tę wystawę... mimo że komisja, poszerzając znaczenie krajobrazu, szukała dodatkowego sensu, ten sens się zgubił. I zrobiło się bez sensu, a sam opis zwycięskiej fotografii woła o pomstę do rozchmurzonego nieba. ■

Miejsca, których nie ma



Bezlitosne zmiany
otaczającej nas
przestrzeni.

POSTACI NA ZDJĘCIACH PODPATRZONE na targowisku, sprzedające lusterka, kapcie. Ubrane w zapaski naramienne i chustki kobiety handlujące buketami rzepy, czy koronkami. Kolejki ustawione wzdłuż budynków sklepów „Spotem” czy monopolowych, mężczyźni sprzedający obuwie schludnie poukładane w rzędkach. Czy zwyczajni kielczanie rozmawiający na ulicach, śpieszący się w bliżej nieokreślonym kierunku.

Brak tu pięknych obrazków, lecz jest brutalna prawda o tym z czego żyli zwyczajni ludzie, jak wyglądali, słowem jak było. Nie ma tu jednak portretów, autor nie zwraca przesadnej uwagi na człowieka. To ulice miasta i społeczeństwo, a nie indywidualne jednostki stają się tematem poszukiwań fotografa.

Z drugiej strony Jerzy Piątek pokazuje zautki, bramy, gdzie człowiek jest również jedynie sztafażem. Dokumentuje biedne, zaniedbane podwórza z suszącym się praniem, chaosem zniszczonych chodników,

Izabela Łazarczyk-Kaczmarek
Wystawa w Muzeum Historii Kielc „Były takie Kielce” to zestaw reportażowych, czarno-białych fotografii Jerzego Piątka. Miejsca, których już nie ma, zautki, budynki i ludzie, to główni bohaterowie zdjęć. Prezentowane – w formach kwadratów fotografie – są zapisem niekiedy socjologicznym.

rozpadającymi się fasadami. Pokazywane w monochromatycznej fotografii nadającej im nostalgiczny, a czasem malowniczy charakter stają się tym samym jedynie wspomnieniem minionego czasu.

Jak zawsze w przypadku tego typu wystaw wszyscy konfrontują swoje obecne, zapisane w umyśle, obrazy miejsc z fotografiami lat minionych. Próbuje się odgadnąć, gdzie zrobione było dane ujęcie i znaleźć różnice. Podobnie jak wystawa Janusza Buczkowskiego „Tak było”, która miała miejsce w BWA w Kielcach w 2015 r. wystawy te stają się dokumentacją historii naszego miasta. Pokazują, często bezlitośnie zmiany otaczającej nas przestrzeni. Nie wartościują ich, pozwalając na samodzielną i indywidualną refleksję.

GLOBAL PLUS

Biurowo Rachunkowo-Audytorskie
§

• KSIĘGOWOŚĆ •

• DORADZTWO PRAWNO-GOSPODARCZE •

• DOFINANSOWANIA •

ul. Warszawska 10, lok. 9
25-306 Kielce
tel. 531 451 655
<http://globalplus.com.pl>

Współfinansowanie:



Urząd Miasta Kielce

Stowarzyszenie Twórcze „Zenit”

Tajne rozrywki awatarów

Paweł Chmielewski

Nauki humanistyczne – zwłaszcza literaturoznawstwo – dość konserwatywne z natury, parę lat temu zaczęły opuszczać bezpieczną skorupę. Zainteresowały się na poważnie kulturą „niską” i pop – serialem, komiksem, muzyką rockową, pograniczami dziedzin, telewizyjną rozrywką i grą komputerową.

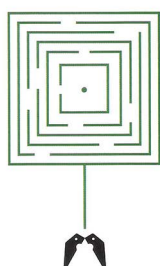
CIĘKAWY ZJAWISKO – kto nie inwestuje w popkulturowe badania – ten wprowadzi ma studentów „na stanie”, ale nie realizuje dobrych projektów, konferencji, nie wyda książek, które wnosząby cokolwiek do współczesnej refleksji humanistycznej. Tyle dygresji. „Gry wideo. Zarys poetyki” Piotra Kubińskiego, komparatysty z Uniwersytetu Warszawskiego (zmieniona wersja dysertacji nagrodzonej w Konkursie Polskiego Towarzystwa Komunikacji Społecznej na Najlepszą Pracę Doktorską z zakresu Nauk o Mediach i Komunikowaniu w 2014 r.) to właśnie przykład publikacji nowoczesnej, porządkującej stan wiedzy i mechanizmy badawcze.

Zacniemy od obalenia pewnego mitu. Badania nad „grywalnością” i zainteresowaniem grami wideo w Polsce dowodzą, że większość „użytkowników” (nie „odbiorców”, co wyjaśnię później) tej formy rozrywki to kobiety. Tu otwiera się furta do badań nad magią i mocą sztucznych światów i teren zainteresowań antropologa. Dla rozważań Kubińskiego dobrą ilustracją byłoby literackie przykłady z kręgu SF – dylogia Siergieja Łukjanienki „Labirynt odbić”, „Fatszywe lustra” lub „Człowiek w labiryncie” Roberta Silverberga, wreszcie popularny film „Tron”. Właśnie ta metafora labiryntu mogła być jednym ze sposobów na analizę struktury wideo-świata. Te odniesienia w książce się

Piotr Kubiński

Gry wideo

Zarys poetyki



Piotr Kubiński

Gry wideo. Zarys poetyki

358 s. ; 21 cm

Kraków : Wydawnictwo Universitas, 2016

82.0.793.7.004.4

nie pojawiły, lecz warto o nich pamiętać by lepiej zrozumieć odautor-ski dyskurs, skoncentrowany wokół zagadnień immersji i emmersji.

Za punkt wyjścia przyjmijmy tezę postawioną przez naukowca, że *gry wideo znajdują się nie na peryferiach, ale w centrum współczesnej kultury*. I wyjaśnijmy dwa zagadkowe terminy: immersja – *wrażenie zanurzenia się w rzeczywistości generowanej komputerowo* (właśnie tu przywołać można Łukjanienkę, którego bohater staje się „nurkiem” w wirtualnym świecie) i emmersja – wszystkie czynniki tworzące poetykę/ klimat gier wideo, od elementów

Bohater staje się „nurkiem” w wirtualnym świecie.

artystycznych począwszy. Następnie poznajemy kategorię odbiorcy – typowego tekstu kultury i użytkownika – w przypadku gier decydująca jest tutaj rola wyboru. Autor książki tego pojęcia nie przywołuje (jest *akt sprawczy*), ale „wolna wola gracza” byłaby tu stwierdzeniem adekwatnym. Ze stanem gry związany jest nieodłącznie (tu znów wracamy do immersji) stan *bycia gdzie indziej*. Ekwiwalentem naszej osobowości byłby zatem – w takiej chwili – awatar, znany z wizji Camerona lub bardziej lokalnej „Sali samobójców”.

W rozprawie Piotra Kubińskiego interesujące są odniesienia do badań amerykańskich, kompilacje artykułów i prac teoretyków gier, bez konieczności, dość chaotycznego przeszukiwania najważniejszych dokonań z ostatnich trzydziestu lat. By zrozumieć znaczenie wirtualnej rozrywki dla kształtu współczesnej kultury przywołajmy Rogera Trvisa porównującego mechanizmy, stałe elementy gier do eposu homeryckiego, istniejącego jeszcze w tradycji ustnej.

Graficy odnajdą w książce Kubińskiego analizę semiotyczną interfejsu, antropologowie i socjologowie – solidną podbudowę teoretyczną, badacze rynku gier – kompendium wiedzy, producenci – być może narzędzie marketingowe, a ambitni użytkownicy – argument w dyskusji na forach internetowych.

instytuty

muzea

teatry

biblioteki

stowarzyszenia

galerie

federacje

Instytucje kultury:

MUZEUM NARODOWE W KIELCACH PAŁAC BISKUPÓW KRAKOWSKICH25-010 Kielce, pl. Zamkowy 1, tel. 41 344 40 14
kasa biletowa: tel. 41 344 23 18
e-mail: poczta@mnki.pl; www.mnki.pl**MUZEUM HISTORII KIELC**25-303 Kielce, ul. Św. Leonarda 4, tel. 41 340 55 20
www.muzeumhistoriikielce.pl**MUZEUM LAT SZKOLNYCH STEFANA ŻEROMSKIEGO**25-013 Kielce, ul. Jana Pawła II, tel. 41 344 57 92
www.mnki.pl**GALERIA WSPÓŁCZESNEJ SZTUKI SAKRALNEJ „DOM PRACZKI”**25-009 Kielce ul. Zamkowa 5/7, tel. 41 367 62 97
e-mail: dompraczki@o2.pl**MUZEUM ZABAWEK I ZABAWY**25-367 Kielce, pl. Wolności 2
tel. 41 34 440 78, tel./fax. 41 344 48 19
e-mail: poczta@muzeumzabawek.eu
www.muzeumzabawek.eu**DWOREK ŁASZCZYKÓW**

25-025 Kielce, ul. Jana Pawła II 6, tel. 41 34 450 06

BIURO WYSTAW ARTYSTYCZNYCH25-011 Kielce, ul. Kapitulna 2, tel. 41 36 76 447
e-mail: sekretariat@bwakielce.art.pl
www.bwakielce.art.pl**TEATR ŁALKI I AKTORA „KUBUŚ”**25-304 Kielce, ul. Duża 9
tel. 41 344 58 36, 41 368 02 93
e-mail: sekretariat@teatr-kubus.pl
www.teatr-kubus.pl**GALERIA SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ „WINDA”**25-334 Kielce, pl. Moniuszki 2b, tel. 41 344 40 32 w. 262
www.galeriawinda.pl**MUZEUM DIALOGU KULTUR**25-303 Kielce, Rynek 3, tel. 41 344 60 96
www.mdk.mnki.pl**GALERIA ZPAP „TYCJAN” SKLEP BOHEMA**25-007 Kielce, pl. Artystów / ul. Sienkiewicza 29
tel. 668 895 221**GALERIA XS**25-717 Kielce, ul. Podklasztorna 117
http://wpia.ujk.edu.pl/isp**INSTITUTE OF DESIGN KIELCE**25-009 Kielce, ul. Zamkowa 3, tel. 41 315 26 39, w. 117
www.idkielce.pl**TEATR IM. STEFANA ŻEROMSKIEGO**25-507 Kielce, ul. Sienkiewicza 32
tel. 41 344 75 00, 41 344 47 65
tel. 41 344 60 48 w. 31 – impresariat
e-mail: biuro@teatr-zeromskiego.com.pl
www.teatr-zeromskiego.com.pl**FILHARMONIA ŚWIĘTOKRZYSKA IM. OSKARA KOLBERGA**25-369 Kielce, ul. Żeromskiego 12
tel. 41 368 11 40, kasa biletowa: 41 365 54 83
e-mail: impresariat@filharmonia.kielce.com.pl
www.filharmonia.kielce.com.pl**GALERIA SZTUKI „ZIELONA”**28-100 Busko-Zdrój, al. Mickiewicza 7
tel. 41 378 71 91
e-mail: galeriazielona@busko.com.pl**DOM ŚRODOWISKI TWÓRCZYCH „PAŁACYK TOMASZA ZIELIŃSKIEGO”**25-009 Kielce, ul. Zamkowa 5
tel. 41 367 67 70, 41 367 67 71
www.palacykzielinskiego.pl**KIELECKIE CENTRUM KULTURY**25-334 Kielce, pl. Moniuszki 2b, tel. 41 344 40 32
www.kck.com.pl**KIELECKI TEATR TAŃCA**25-334 Kielce, pl. Moniuszki 2B
tel./fax 41 361 27 46, 41 341 51 77
e-mail: impresariat@ktt.pl, ktt@ktt.pl; www.ktt.pl**WOJEWÓDZKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA IM. WITOLDA GOMBROWICZA W KIELCACH**25-033 Kielce, ul. Ściegiennego 13, tel. 41 344 70 74
www.wbp.kielce.pl**PEDAGOGICZNA BIBLIOTEKA WOJEWÓDZKA W KIELCACH**25-025 Kielce, ul. Jana Pawła II 5, tel. 41 344 28 61
www.pbw.kielce.pl**MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA W KIELCACH**25-406 Kielce, ul. Konopnickiej 5
tel. 41 362 70 13, 41 368 54 09, fax 41 362 61 15
biblioteka@mbp.kielce.pl; www.mbp.kielce.pl**„BAZA ZBOŻOWA”**25-416 Kielce, ul. Zbożowa 4
www.baza-zbozowa.eu**WOJEWÓDZKI DOM KULTURY**25-033 Kielce, ul. Ściegiennego 2, skr. poczt. nr 5
tel. 41 365 51 00, fax 41 361 83 81
e-mail: wdk@wdk-kielce.pl; www.wdk-kielce.pl

Magazyn “Projektor” jest dostępny:

KIELCE

ANTYKWARIAT NAUKOWY IM. ANDRZEJA METZGERA (ul. Sienkiewicza 13)

BAZA ZBOŻOWA (ul. Zbożowa 4, lokal 12 – redakcja; lokal 1 – zarząd; budynek ochrony)

BIBLIOTEKA UNIwersytecka w KIELCACH (ul. Świętokrzyska 21e)

DOM ŚRODOWISKI TWÓRCZYCH (ul. Zamkowa 5)

GALERIA „FORMA” (ul. Mała 4)

GALERIA SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ BWA (ul. Kapitulna 2)

GALERIA WSPÓŁCZESNEJ SZTUKI SAKRALNEJ „DOM PRACZKI” (ul. Zamkowa 5/7)

GALERIA ZPAP „TYCJAN” I SKLEP BOHEMA (pl. Artystów)

ILO IM. STEFANA ŻEROMSKIEGO (ul. Ściegiennego 15)

INSTITUTE OF DESIGN KIELCE (ul. Zamkowa 3)

INSTYTUT SZTUK PIĘKNYCH UJK (ul. Podklasztorna 117)

KIELECKI PARK TECHNOLOGICZNY (ul. Olszewskiego 6)

MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA (Filie – ul. Karczówkowska 20, ul. Krzemionkowska 1, ul. Jagiellońska 36, ul. Romuła 3, ul. Warszawska 147, ul. Wikaryjska 1, ul. Okrzei 9, ul. Konopnickiej 5, ul. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 53, ul. Zagórska 60, ul. Naruszewicza 25)

MEODZIEŻOWY DOM KULTURY (ul. Koźia 10a)

MUZEUM DIALOGU KULTUR (Rynek 3)

MUZEUM HISTORII KIELC (ul. Leonarda 4)

MUZEUM ZABAWEK I ZABAWY (pl. Wolności 2)

PEDAGOGICZNA BIBLIOTEKA WOJEWÓDZKA (ul. Jana Pawła II 5)

ŚWIĘTOKRZYSKA OKRĘGOWA IZBA ARCHITEKTÓW (ul. Siłniczna 15)

TEATR ŁALKI I AKTORA KUBUŚ (ul. Duża 9)

URZĄD MIASTA KIELCE (Rynek 1)

WOJEWÓDZKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA (ul. Ściegiennego 13)

WYDZIAŁ HUMANISTYCZNY UNIwersYTETU JANA KOCHANOWSKIEGO (ul. Świętokrzyska 21d)

BUSKO ZDRÓJ

BIBLIOTEKA PEDAGOGICZNA (ul. Armii Krajowej 19)

JĘDRZEJÓW

BIBLIOTEKA PEDAGOGICZNA (ul. 11 Listopada 37)

KAZIMIERZA WIELKA

BIBLIOTEKA PEDAGOGICZNA (ul. Partyzantów 29)

KOŃSKIE

BIBLIOTEKA PEDAGOGICZNA (ul. Zamkowa 5)

OPATÓW

BIBLIOTEKA PEDAGOGICZNA (ul. Stowackiego 54)

OSTROWIEC ŚWIĘTOKRZYSKI

BIBLIOTEKA PEDAGOGICZNA (os. Ogrody 26)

PIŃCZÓW

BIBLIOTEKA PEDAGOGICZNA (ul. Nowy Świat 3)

SANDOMIERZ

BIBLIOTEKA PEDAGOGICZNA (ul. Sokolnickiego 4)

STARACHOWICE

BIBLIOTEKA PEDAGOGICZNA (ul. Kościelna 30)

STASZÓW

BIBLIOTEKA PEDAGOGICZNA (ul. Piłsudskiego 7)

WŁOSZCZOWA

BIBLIOTEKA PEDAGOGICZNA (ul. Wiśniowa 10)

BIAŁYSTOK

WYDZIAŁ FILOLOGICZNY UNIwersYTETU W BIAŁYMSTOKU (ul. Uniwersytecka 1)

KSIĄŻNICA PODLASKA (ul. Skłodowskiej-Curie 14a)

CZĘSTOCHOWA

MIEJSKA GALERIA SZTUKI (Al. Najświętszej Maryi Panny 64)

JELENIA GÓRA

BIURO WYSTAW ARTYSTYCZNYCH (ul. Długa 1)

KRAKÓW

INSTYTUT BLISKIEGO I DALEKIEGO WSCHODU UNIwersYTETU JAGIELLOŃSKIEGO (ul. Gronostajowa 3)

KATEDRA MULTIMEDIÓW UNIwersYTETU PEDAGOGICZNEGO (ul. Mazowiecka 43)

WYDZIAŁ MALARSTWA AKADEMII SZTUK PIĘKNYCH (pl. Matejki 13)

OPOLE

MUZEUM POLSKIEJ PIOSENKI (ul. Piastowska 14a)

SKIERNIEWICE

BIURO WYSTAW ARTYSTYCZNYCH (ul. Reymonta 33)

RZESZÓW

RZESZOWSKA AKADEMIA KOMIKSU – WOJEWÓDZKI DOM KULTURY (ul. Okrzei 7)